

**Ks. Adam Skwarczyński**

# **Z PRZYMRUŻENIEM OKA**

**Powinieneś mieć usta  
tam gdzie masz stopy!**

*Św. Franciszek z Asyżu*

**Warszawa 2024**

Tekst i łamanie – autor

Okładka – Marek Lipka-Chudzik

*Editio typica.* Autor wyraża zgodę na jej rozpowszechnianie  
– w całości lub we fragmentach – z jednym zastrzeżeniem:  
bez ingerencji w jej tekst autorski.

Druk z powierzonego materiału:

L' ALBA VITA Aleksandra Barańska

ul. Raclawicka 146 lok. U7, 02 117 Warszawa

[www.lalbavita.pl](http://www.lalbavita.pl)

e-mail: [lecznica@lalbavita.pl](mailto:lecznica@lalbavita.pl)

tel. 22 622 00 09, 601 722 553

Tamże można nabyć inne pozycje tegoż autora:

Z Aniołem do Nowego Świata, Wejść do Radości,

Żyłem w Bogu, Mój Różaniec, Do zobaczenia w Niebie!

**Warszawa 2024**

## SPIS TREŚCI

<b>Mistrz mozaiki i jaskiniowiec .....</b>	<b>5</b>
<b>Gdzie się taki wychował? .....</b>	<b>9</b>
<b>W szkołach .....</b>	<b>13</b>
<b>Oj ten kleryczek! .....</b>	<b>18</b>
<b>Migawki z podróży .....</b>	<b>23</b>
<b>Co wyziera spod tej sutanny? .....</b>	<b>31</b>
<b>Coś od sołtysa Kierdziółka .....</b>	<b>54</b>



## Mistrz mozaiki i jaskiniowiec

O mój Boski Artysto! Musiałem przeżyć aż tyle lat, żeby teraz, na samym końcu, odkrywać tajemnicę Twojego warsztatu, Twoich współpracowników, Twojego dzieła! Odkrywać ze zdumieniem, z podziwem, z zachwytem, z wdzięcznością, z uwielbieniem! Odkrywać... Twoją pracę nad mozaiką mojego życia...

Pracę w tym warsztacie rozpocząłeś w chwili mojego poczęcia, a zakończysz ją w chwili mojego odlotu z ziemi, chociaż pełny obraz mozaiki z wypisanym moim imieniem nosiłeś w swoim umyśle i sercu od zawsze. Nie była Ci potrzebna przy tej pracy jakakolwiek wiedza, rozciągnięta w czasie lub w przestrzeni, gdyż wszystko co stworzone istnieje w Tobie, w którym „żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”. A ponieważ Ty żyjesz ponad czasem, więc w Tobie początek czegokolwiek razem z końcem zbiegają się ze sobą. Gdy więc ruszyła Twoja praca nade mną ponad 78 lat temu, już w tym samym momencie w Tobie osiągnęła swoją pełnię doczesną, ale i wieczną, gdyż przecież pracowałeś dla wieczności – dla mojego szczęścia, które w wiecznym „teraz” całe, choć nie mające końca, istnieje w Tobie.

Chociaż tak właśnie jest, w każdej sekundzie czyniłeś mnie wolnym i – o dziwo – tak pracowałeś, że w niczym nie naruszyłeś mojej wolności! To znaczy, że gdy upierałem się przy swoim, błądziłem, zbaczałem z Twojej linii działania, nie chciałem zrozumieć oczywistego ani oczyścić się z brudu, pozwalałeś mi błądzić i cierpliwie czekałeś. A było to po to, żeby cała mozaika mojego życia była nasza wspólna. O tak, bez mojej zgody i współdziałania nie umieściłeś w niej ani jednego elementu! Nawet jeśli w danym momencie nie byłem w stanie czegoś zrozumieć i zaakceptować, cierpliwie czekałeś, aż „złożę swój podpis” i praca będzie mogła ruszyć dalej. Tak było na przykład z elementami o ciemnej barwie, które miały jednak w mozaice w swoim czasie rozbłysnąć: z upokorzeniami. Najpierw były to małe kamyczki, potem coraz większe, aż wreszcie przybrały wymiar „publiczny” i mocno zabolowały. A teraz zmieniły rzeczywiście swoją barwę, gdyż przestało mi zależeć na ludzkiej opinii i tylko Tobie pragnę się podobać.

W swoim warsztacie, o Boski Mistrzu, zatrudniasz miliardy swoich stworzeń – dosłownie wszystkie, bo i te z Czyśćca – przecież modlą się za mnie – i te z piekła, chociaż im to nie w smak – a nawet te z Otchłani, chociaż o nich Kościół nie pamięta, a mnie są bliskie. Każde z jakimś swoim narzędziem, jak to w pracowni, z jakimiś materiałami. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus stwierdziła, że w Wieczności przekonamy się, że wszyscy mieli udział w zbawianiu wszystkich. Chrystusowe Ciało Mistyczne tak właśnie żyje, tak jest zjednoczone, o czym niewiele wiemy. A diabły...? Choć one oderwały się od Ciała, niczego nie zrobią bez Twojej, Mistrzu, kontroli, a jeśli coś zrobią, to także ich czarne kamyki wtapiasz w swoją (naszą) mozaikę.

W niemym zachwycie podziwiam, o Boże, w najdrobniejszych szczegółach Twojego działania jego precyzję i taką doskonałość, przy której praca dawnych szwajcarskich zegarmistrzów jest niczym. Wszystko zazębia się o siebie, wspaniale dopasowane tak w czasie, jak i w przestrzeni, bez najmniejszych elementów zbędnych czy uszkodzonych, niepełnych. Ja tego z początku nie rozumiem – jak chociażby ostatnio tej nagłej izolacji od świata – więc wpadam w popłoch i podnoszę alarm, ale Ty dajesz mi światło i mobilizujesz do szybkiego działania: pisz w ciszy. Gdy więc poznaję Twój warsztat, mam się nauczyć reagować inaczej: od razu, gdy „coś się dzieje”, mam Cię wielbić i dziękować za to „coś” (choćby nie było to łatwe), zanim się dowiem, w jakim miejscu mozaiki jest Ci to potrzebne. Mam więc natychmiast składać swój „podpis in blanco” czyli na czystej karcie, ufając, że składam go pod niewidocznym dla mnie „tekstem” w pełni doskonałym, gdyż od Ciebie pochodzącym. A Ty na ten mój „podpis” czekasz, żeby móc swobodnie działać, a do mnie mówisz tylko dwa słowa: *Pokój tobie!*

A co z tym „jaskiniowcem”...? Zawsze takim byłem, jeśli chodzi o dbałość o samego siebie, o swój wygląd, ubiór (często z odrzutu), porządek wokół siebie i w swoim „gospodarstwie”. Czy z

lenistwa? Być może, ale chyba nie tylko, bo coś takiego wpisałeś, Boski Mistrzu, w moją naturę – inaczej niż w naturę mojego rodzeństwa, bo to czyściochy, nieraz aż do pedanterii. A ja zawsze – jak to „w jaskini” – wolałem ścianę surową, w którą mogę wbijać gwoździe, od pięknie otynkowanej i pomalowanej. Półki w pokoju – byle jakie, z kawałków desek, byle wygodne, a jeśli ich za mało – zostawała podłoga. Piętrzyły się na niej kartony, książki, nieraz wychodziły przed drzwi, a w pokoju wystarczyły mi „ścieżki” między drzwiami a łóżkiem i biurkiem. Przeróżne graty, części, uszkodzone detale... – gromadziłem je, gdyż doświadczenie mnie nauczyło, że gdy trzeba coś zreperować albo ulepszyć (lubilem majsterkować), pierwszy krok to właśnie poszukiwanie materiału. Gdy go nie było, trzeba było po prostu rezygnować. Mój brat nieraz pytał: „Po co ci tyle złomu? Jeszcze ci za mało?” – i wyrzucał, a mnie się zdarzało z jego kupy odpadów, przygotowanych do wywiezienia, coś wycofywać do domu jako rzeczy dla mnie użytkowe. Dopiero gdy odejdę, będzie mógł to wszystko powyrzucać. Na wyższych półkach znajdzie grubą warstwę kurzu, bo gromadził się latami, między jedną a drugą przeprowadzką, jak to w jaskini...

Jednak „jaskiniowcem” byłem także w sferze ducha. To prawda, że od najmłodszych lat miałem bliskie kontakty z Niebem oraz wgląd w Twoje plany, Boże, odnoszące się do ziemi na końcu czasów, jednak z Twojej woli nikt o tym nie wiedział. Jako „w gorącej wodzie kąpany” (określenie mojego ojca) także w życiu duchowym chciałem mieć wszystko natychmiast, nie umiając cierpliwie czekać. Przy tym do końca nie było moje wnętrze uporządkowane, czyściutkie, zharmonizowane i przystrojone, gdyż nie miałem nigdy kierownika duchowego, znającego moje kontakty z Tobą Boże. Od najwcześniejszych lat życia tę sferę zastrzegłem dla samego Siebie. Dopiero na samym końcu książki dałem osobom postronnym do wglądu migawki z mojego przeżywania Mszy świętej i Różańca, który od 60 lat był dla mnie drogą do Twego Serca. Reszta stanie się jawna w Niebie, w Pełni Prawdy. Tam nikt mnie już o nic podejrzuwać ani oskarżać nie będzie...

\* \* \*

Obecnie ludzie zatracają poczucie humoru, a jeśli gdzieś rozlega się śmiech szczerzy i naturalny, to z reguły u dzieci. Ludziom pomieszało się w głowach. Pewien Anglik paradował z ogromnym psem (psicą?) i żądał publicznego i prawnego uznania ich za kochającą się parę. A czy pies zgadza się na to? – pytano. – Oczywiście! Wprawdzie jeszcze mówić nie umie, ale za to... macha ogonem...! Gdy dwa samce albo dwie samice łączą się w pary, chłop udaje babę, a baba chłopca – ich otoczenie przyjmuje to ze śmiertelną powagą, a nawet im gratuluje i chce odnotowywać to w dokumentach. Ale za to śmieją się z najsmutniejszego ze wszystkich i parodiują go, co ułatwia mu połów dusz.

Po tak nudnym (być może, dla niektórych,) wstępie – teraz coś weselszego i trochę na luzie. Jako jaskiniowiec zapraszam Czytelnika na wybieg przed jaskinią mojego życia, gdyż chcę z niej na światło dzienne powynosić pewne graty, gadżety, a nawet śmieci, byśmy trochę w nich wspólnie pogrzebali. Pracowałem i byłem już po remanencie, ale nie miałem czasu na poukładanie wszystkiego na stercie, czyli na redakcję. Widocznie Bóg przymrużył oko i niespodziewanie robotnicy odcięli czy odłączyli linię, zapanowała cisza w telefonie i w kompie! I gdy tylko skończyłem, powróciła łączność, chociaż w niedzielę wydawało się to niemożliwe... Tym co opisuję posłużył się w swojej pracy Boski Mistrz Mozaiki, dla którego ciemności jaskini nie były przeszkodą – to wszystko wykorzystał, choć to tylko mała część użytego przez Niego materiału.

Wkrótce jaskinia opustoszeje. Mistrz bierze już do ręki coś jak „kropkę nad i”, ostatni element mozaiki, czerwony, i mrużąc oczy spogląda na całość naszego dzieła. Ktoś będzie mógł pomyśleć o mnie: w jakim on musiał być wtedy napięciu, a może i lęku...! Niech więc poniższy tekst będzie zaprzeczeniem tegoż, a zarazem potwierdzeniem, że tytuł „listu pożegnalnego”: „Idę z radością na spotkanie Pana” brzmi prawdziwie. Zanim zanurzę się w Wiecznej Radości, niech i ta doczesna prześwituje przez szatę mojej duszy!

## **Gdzie się taki wychował?!**

### **Konkurent do psiej miski**

W sieni w Rakowcu ciocia postawiła miskę z kaszą jęczmienną dla podwórzowego psa do ostudzenia. Wkrótce potem ktoś z rodziny podpatrzył, że dobrało się do niej inne stworzenie, dwunożne, pożywiając się z apetytem. Ponieważ ma przyrośnięty język, ale za to długi nos, tymże nosem pomagało sobie w przysuwaniu kaszy. Podniesiono alarm, pewno przez współczucie dla biednego pieska, którego porcja została uszczuplona. Wabił się Rak, a jego konkurent do miski – Adasiek...

### **Kościółkowe wspomnienia**

Mało kto już pamięta atmosferę, panującą niedzielami wokół wiejskich kościółków, gdy gawędząc czekano na głos sygnaturki czyli dzwonka na dachu, którym kościelny zawiadamiał, że ksiądz ubiera się już do Mszy i trzeba wchodzić. Za to śpiewający Godzinki zasiadali dużo wcześniej w ławkach, a dzieci im się przysłuchiwały. Śpiewano z pokolenia na pokolenie z pamięci, książeczki były rzadkością, więc nawet ciekawscy nie mieli gdzie sprawdzić poprawności tekstu, a ten brzmiał naprawdę intrygująco: „Plask w mordu Samsona”... Dopiero po latach dowiedziałem się, że wprawdzie te słowa odnosiły się do Maryi, jednak z tą „mordą” było nieco inaczej: chodziło o „plastr miodu Samsona” czyli o zagadkę, którą tenże chciał pokonać Filistynów, a nie o cios jemu zadany przez Matkę Bożą!

Mój parafialny kościółek powstał przed wojną ze szkoły, w której wylano posadzkę z betonu. Zimą tak bardzo marzyły na niej ludziom nogi (choć wtedy nie były jeszcze, jak dzisiaj, rozparzone przy kaloryferach), że przez całą Mszę rozlegało się ich rytmiczne uderzanie jedną stopą o drugą. Za to latem tę posadzkę przemierzały bose stopy dzieci z najbiedniejszych rodzin. Zdarzyło się też, mnie i bratu, klęść na niej za karę, którą wymierzył nam kościelny za to, że nie znaleźliśmy długiego pacierza. On to przygotowywał nas do Pierwszej Komunii świętej w zastępstwie bardzo leciwego proboszcza. Jak długą drogę trzeba było jeszcze przebyć do Mszy prymicyjnej w tymże kościółku!

### **Połowanie na harcerza**

Przez lata moim hobby było czytanie książek indiańskich i zabawa w Indianina, do której konieczne były łuk i tomahawk czyli mała siekierka. Celowałem do dzikich kotów i ptaszków, jednak marzyło mi się polowanie na grubego zwierza! I oto pewnego razu nadarzyła się ku temu wyjątkowa okazja. A było to tak.

W mojej wsi istnieje w lesie urocza „harcerska górką”, teraz już nikomu niepotrzebna i zarośnięta, ogołocona z głównej ozdoby w postaci trzech starych strzelistych sosen. Od lat harcerze z Siedlec organizowali na niej letni obóz, przynosząc wodę z naszej studni. Pewnego razu, gdy ją nieśli przez las, z krzaków wyleciała strzała i zraniła dłoń jednego z nich, obciążoną wiadrem. Rzucili się w pogoń i szybko dopadli małego strzelca z łukiem w rękę, zrobionym z gałęzi wiśni. Trzymając go za kołnierz, zaprowadzili go na górkę i za karę urządzili publiczną „egzekucję”: uwiązali go na linie, przerzuconej przez gałąź sosny, i podciągnęli ze 2 metry nad ziemię. Łucznik w ryk – może nie tyle ze strachu, co z bólu, gdyż lina strasznie go uwierała. Niedługo tak wisiał, gdyż jego rodzeństwo zaalarmowało ojca. Nie pamiętam, czy zrobiła na nim wrażenie rana na rękę harcerza ani czy pochwalił celność strzału swojego synka, ewentualnie czy go za wszystko pogłaskał (mocniej lub słabiej)...

Teraz, na końcu życia, moje myśliwskie przygody są zwykle śmiechu warte, gdyż jednym okiem widzę inaczej niż drugim. Wykorzystują to mole spożywcze w mojej kuchni, które drwią sobie ze mnie: fruwać mi zygzakami przed nosem, a ja nie mogę ich upolować. Być może młode mówią do starych (jak to ktoś napisał): ale ten facet musi nas podziwiać, cenić i lubić, skoro na sam nasz widok zawsze tak mocno klaszcze w ręce!

### **Moja Muchawka**

Wychowałem się kilometr od tej małej rzeczki, nad którą osiedlili się moi przodkowie młynarze, od pradziadka począwszy. Jak nazwa wskazuje, mogłem tam zdobyć umiejętność zjadania much,

którą – jak dalej wspomnę – chlubiłem się jako kleryk.

Z tą rzeczką łączy się wiele wspomnień na przestrzeni lat. Po niej pływaliliśmy z bratem na nadmuchiwanym materacu, posługując się prawdziwymi wiosłami kajakowymi. Po stawie pływaliliśmy wiosną na krach, odpychając się żerdzią. Pewnego razu mój brat nie docenił swojej wagi i jego kra... zanurzyła się razem z nim! Dopłynął „po piesku” do brzegu z tornistrem na plecach. Lód miał też inne zastosowania: jego kawały, odrąbane siekierą, woziliśmy na sankach do piwnicy, obsypując je trocinami. Latem na wozie konnym jechały do szpitala, którego mama była ordynatorem, i tam w skrzyni ich kwałki podtrzymywały świeżość mleka matek, mieszkających zbyt daleko, by często osobiście karmić dziecko piersią. Kawałeczków lodu używaliśmy do produkcji prawdziwych lodów mlecznych na rodzinne uroczystości. Posypywało się je solą i obracało maszynką korbą, chyba ze dwie godziny, aż do skutku. W Muchawce łowiłem raki, stojąc w wodzie i czekając, aż dobiorą się one do żaby na środku siatki. Potem pułapkę na raki, bardzo skuteczną, zrobioną z bańki na mleko i patyków w kształcie lejka, opróżniałem wracając ze szkoły, aż ktoś mi ją ukradł.

### **Pechowy egzamin.**

Byłem strasznie pewny siebie, gdy rodzinnie udaliśmy się na miejski odkryty basen, żeby zdobyć kartę pływacką. Najpierw udany skok i sporo metrów pod wodą, potem stylem dowolnym przez cały basen, i już tylko na plecach. Gdy byłem na środku, ktoś chyba przepływał obok mnie i chlapaną mi w twarz, a przy tym były denerwujące krótkie fale, zalewające twarz – dość że zakrztusiłem się wodą i z tych pleców niewiele wyszło. Egzaminator przywołał mnie do brzegu i tak zakończyła się ta przygoda. Potem sporo pływałem w życiu kajakiem, ale nikt nigdy mnie nie pytał o kartę pływacką. W Niebie mam nadzieję sobie popływać – ileż tam wszędzie pięknej wody, i to podobno takiej, że ubrania wcale nie moczy. Myć się nigdy nie trzeba, więc nawet największe ziemskie brudasy znajdują tam prawdziwy raj!

I jeszcze jedna refleksja na kanwie powyższego doświadczenia. Zdolny i ambitny człowiek od dziecka nosi w sobie chęć wyróżnienia się, wybicia, zabłyśnięcia w ludzkiej społeczności. Najgorsze cechy wyłaziły ze mnie w okresie dojrzewania: chciałem bezwzględnie dominować nad trójką młodszego rodzeństwa, nie znosiłem oporu, często ich tarnosiłem, po czym słyszałem od mamy gorzkie „Ty podlecu!”. Jezus w swojej ewangelii wzywa nas do udziału w zawodach o puchar przeznaczony dla ostatnich i najmniejszych w oczach ludzkich i własnych. Bezwzględne i niepowtarzalne zwycięstwo w tych zawodach odnieśli On sam i Maryja. Bóg, który mnie zna, obdarował mnie dziesiątkami mankamentów i tak pracował nade mną, żebym w niczym nie mógł się wybić, gdyż chciał mnie mieć całego dla siebie. Już sam dobry skok do basenu przy egzaminie był dla mnie wielkim sukcesem, gdyż albo tak skakałem, że przeważały nogi, albo jak kot na cztery łapy (albo żaba, pewno ropucha), po czym miałem czerwony i piekący brzuch i klatkę piersiową. Znając swoje umiejętności, nie odważałem się nigdy na skok do basenu, lecz schodziłem do niego jak małe dziecko, po drabince... Mogłem przynosić wstyd swojemu wysportowanemu ojcu, który skakał do rzeki z wysokiej turbiny młyna w Sekule i mógł pływać kilometrami, ale cóż... Ogromnie jestem wdzięczny Bogu właśnie za to, czym mnie obdarował!

### **Początkujący kajakarze.**

Dwa własnej produkcji, pachnące świeżą farbą kajaki – ileż wiązało się z nimi marzeń – razem z jednym składakiem znalazły się wreszcie na Bugu. Nasza rodzina wyruszyła w pierwszą podróż, mając w planie na pierwszym etapie dopłynięcie do wsi, zamieszkaną przez krewniaków. Zapadł zmierzch, który zaczęły przecinać coraz bliższe blicze błyskawic. Zakola rzeki w ciemnościach nie pozwalały na zorientowanie się, w jakim kierunku płynąć, a rzeka nagle zahuczała pod uderzeniami wichury. Fale sięgały ponad pokład, co zrobiło – może nie na rodzicach, ale na nas – niesamowite wrażenie! Z piskiem i krzykiem przybiliśmy do brzegu, chociaż ojciec protestował: płynmy, bo wieś na pewno tuż tuż. Zaczęło lać, więc jakoś cudem udało się nam wcisnąć do dwuosobowego namiotu



i tak przesiedzieliśmy do rana, kiedy to (wyobraźcie sobie naszą minę!) okazało się, że do zabudowań już bardzo blisko (były widoczne). Jak dla nas, dzieci, była to niezapomniana przygoda! Nasz spływ zakończył się wtedy w Zegrzu, które dopiero czekało na swój zalew.

## **W szkołach**

### **Ściągawki.**

Szybko nauczyłem się czytać, jeszcze przed pójściem do szkoły, i potrafiłem obejmować wzrokiem dość długie teksty. Wykorzystywałem to wówczas, gdy nagle zostawałem wyrwany do odpowiedzi: mając przed sobą rozłożoną książkę, w ciągu sekund zapamiętywałem tekst, podnosiłem głowę i udawałem, że to z niej czerpię wiadomości, ku zadowoleniu nauczyciela.

Jako student KUL-u musiałem zdawać dużo egzaminów, najpierw jako kandydat na magistra, potem na doktora. Wykorzystując pamięć wzrokową, robiłem sobie ściągawki na dłoni (w moim wieku nikt tego nie podejrzewał), a potem na karcie papieru. Potrafiłem pisać takim maczkiem i swoim sokolim wzrokiem tak szybko go odczytywać, że mogłem być spokojny o wynik odpowiedzi. Potem pomógł mi w zdawaniu inny wynalazek: odkrycie sposobu takiego wpływania na profesora, że wpadał on w dobry nastrój i stawiał dobre stopnie. Nazwałem to „obejmowaniem ramionami serca” i opisałem dość szczegółowo, przekazując wielu ludziom w celu poprawy relacji z różnymi osobami, więc tu szczegóły pomnę.

### **Duch Święty przy tablicy.**

Trafiała kosa na kamień wtedy, gdy nie było jak ściągnąć. Tak bywało np. wtedy, gdy matematyk w liceum oczekiwał napisania na tablicy jakiegoś wzoru. Gdy stałem w bezruchu, słyszałem jego drwinę: „Na co czekasz? Że cię Duch Święty oświeci? Siadaj”. Na któryś okres postawił mi dwóję i sugerował, że są mi potrzebne korepetycje, oczywiście u niego. Dopiero wtedy, bez jego pomocy, nadrobiłem zaległości, ale do końca matematyka mnie „odrzucała”. Tak się złożyło, że tenże nauczyciel, mój wychowawca, najpierw oburzył się moim wyborem seminarium duchownego, a potem usłyszał ode mnie jako od księdza: „Pana wzmianki o Duchu Świętym sugerowały mi, że jest Pan ateistą!”, jednak temu zaprzeczył. Zdobyłem się wobec niego na zwierzenie, które przyjął w milczeniu, bo co miał odpowiedzieć? „Po co były lata uczniowskiej męczarni i nabijania sobie głowy tym wszystkim, skoro w życiu przydały mi się tylko takie podstawowe działania jak mnożenie, dzielenie, dodawanie i odejmowanie...?”

### **Fajtlapa na lekcjach WF-u.**

Zawsze podziwiałem ludzi gibkich, a szczególnie zdumiewali mnie „ludzie-żaby”, którzy tak się wyginali, jakby nie mieli kości. Sam zawsze byłem sztywniakiem. Stawy skokowe miałem w takim stanie, że nawet jako dziecko chodziłem w kręgu przy śpiewie „Stary niedźwiedź mocno śpi” na paluszkach, ale z piętami nad samą podłogą, miałem też z tego powodu problem z jazdą na nartach. Nigdy nie wykonałem przerzutu przez ściankę na szkolnym boisku, co innym przychodziło z łatwością. Byłem największym fajtlapą przy przechodzeniu przez skrzynię, zawsze lądowałem okrakiem na niej, zamiast za nią (za jej końcem). Nauczyciel widział z boku moje błędy, ale nigdy mi nie pomógł w sposób bardzo prosty: nie pokazał, w którym miejscu (jak daleko) trzeba podeprzeć się rękami, żeby przeskok się udał. W końcu sam do tego doszedłem, ale dopiero na końcu nauki w tej szkole... No i sztywność dłoni i przegubów – ta nie pozwalała mi ani na grę w siatkówkę, ani na grę na pianinie, ani na pisanie dziesięcioma palcami. Dziś za to wszystko dziękuję Ci Boże, Ty doskonale dopasowałeś do mnie swoje dary!

### **„Czyste sumienie” jako mój „pseudonim”.**

W liceum jedna z nauczycielek, choć nie moja, dała się poznać jako wielka służbistka, czym budziła postrach wśród młodzieży. Pewnego razu zauważyła grupę uczniów, którzy w czasie lekcji pozostawali „na wybiegu”, i postanowiła ich dopaść. Rzucili się do ucieczki, a ja „owczym pędem” razem z nimi. Biegaliśmy z góry na dół i z powrotem to jedną, to drugą klatką schodową. Jej tusza nie pozwalała jej na bieganie, zasapała się, budząc tym we mnie litość. Postanowiłem dać się jej

złapać i tym zakończyć jej mordęgę i zrobiłem to z wielkim spokojem, nie mając powodu do ucieczki przed nią. Z tryumfem złapała mnie za kołnierz i zaciągnęła do dyrektora szkoły z informacją: „Przyprowadzam ucznia, który uciekał przede mną, a na moje pytanie o nazwisko i klasę określił siebie jako „Czyste Sumienie”. Dyrektor pouczył mnie tylko, bo cóż innego mógł zrobić, że na przyszłość na pytanie nauczyciela o nazwisko należy je podać.

### **Rozrabiaka**

Należałem do tych, którzy lubili w liceum robić psikusy i dowcipkować. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że dla takich w Niebie nie ma miejsca, więc gdzieś po drodze muszą nauczyć się cichości i pokory – jak nie na ziemi, to w Czyścucu. Czego to nie robią ludzie w świecie dla popisu – nawet narażają swoje życie! Obiło się echem nazwisko śmiałka, który na warszawski hotel Mariott zaczął wspinać się po gładkiej ścianie bez żadnego ubezpieczenia, „człowiek-mucha”, ale policja przeszkodziła mu w wejściu na dach. Ludzie spacerują po linie nad przepaścią, skaczą na trapezie, uczestniczą w sportach „ekstremalnych”... Czymże były moje popisy wobec ich wyczynów? Ale ważne, że podniecały kolegów, a zwłaszcza... koleżanki.

Tak było np., gdy przynosiłem do szkoły prawdziwe rękawice bokserskie, kupione przez mamę na rynku, i w klasie urządzaliśmy „ring”. Popisywałem się swoją głupią „odwagą”, rozpalając ogień w szparze drzwi składziku z drewnem, zaśmieconego wiórami. Ale to było gorsze, że denerwowałem surowego nauczyciela łaciny, wbijając scyzoryk w ławkę i uruchamiając go jako wibrator w mocno dudniącej przestrzeni. Gdy łacinnik pytał: „Co za hycel tu przeszkadza?”, patrzyłem w inną stronę, a on słuchem nie wychwytywał kierunku dźwięku. Jego kosztem robiliśmy sobie ubaw, co roku składając mu życzenia imieninowe 8 maja i słysząc od niego: „Wprawdzie jest mi miło, że o mnie pamiętacie, ale ja jestem Kostka (dawniej 13 listopada)”. Wiedzieliśmy, że w ramach tych fałszywych „imienin” lekcja będzie już inna, na luzie. Jednak przed maturą denerwujący „hycel” sprawił mi wielką satysfakcję, chcąc zdawać z łaciny, której nikt jeszcze nigdy w tej szkole nie wybrał! Niestety spóźniłem się, gdyż zgłoszono już do władz oświatowych mój rosyjski jako przedmiot dowolny, a więc „Ptica” – jak pieśzcotliwie nazywaliśmy nauczycielkę – wzięła mój los w swoje ręce. Gdy siedziałem przy stole maturalnym, mając przed sobą komisję, po zadaniu mi pytania do przetłumaczenia napisała odpowiedź na kartce i obróciła ją w moją stronę. Było to tak ostentacyjne, że mnie zatkało i krępowałem się odczytać jej tekst! Lubiła mnie, była jedyną spośród grona, która na wieść o moim wyborze seminarium duchownego przysłała mi pogratulować. Za to mój wychowawca był tym wstrząśnięty i podjął pewne kroki, które przemilczę.

Wyżej wspominałem o koleżankach ze swojej klasy, którym próbowałem się przypodobać. Chyba robiłem to dość skutecznie, skoro niektóre z nich proponowały mi... spacer, randkę czy umówienie się na coś – nie wiem na co, na tym się nie znam, ale chyba raczej nie na lody. Z moich ust nieodmiennie padała odpowiedź: wykluczone, gdyż... będę księdzem! Wypowiadając te słowa, robiłem przy tym tak pocieszna – może błazeńską – minę, że mogły ją tylko skwitować: „Ja na poważnie, a ty się wygłupiasz!” Wiedziały, że mam mamę lekarza i że moje zgłoszenie się na WAM (Wojskową Akademię Medyczną) jest jak najbardziej naturalne, do ostatniej chwili w to wierzyły. Dopiero gdy wychowawca mnie przycisnął (czas już naglił): „To dokąd w końcu mam wysłać twoje papiery?” i usłyszał: „Do nikąd, sam je zaniosę” – i z ponurą miną zapytał mnie wprost: „Idziesz do seminarium...?” – wieść ta obiegła szkołę lotem błyskawicy, pewno z dołączonym komentarzem koleżanek: „A jednak się nie wygłupiał!”.

### **Student contra kierownik katedry**

Na KUL-u oprócz seminarium (comiesięcznego spotkania) ze swoim promotorem musiałem wybrać sobie jakieś dodatkowe po linii moich teologicznych dociekań. Trafiłem do kierownika katedry, mocno sympatyzującego z prawosławnymi, którzy oficjalnie nie uznają istnienia Czyścucca. Ich teologowie określają go jako wymysł katolików, nie umotywowany biblijnie, chociaż prosty lud w jego istnienie wierzy i za zmarłych się modli. Otóż byłem akurat na takim spotkaniu, na którym ksiądz profesor podpisał się pod opinią teologów prawosławnych, a ja cóż... Chociaż miałem ochotę go

skontrolować, nie wypadało mi tego robić wobec studentów, tym bardziej, że byłem tu tylko gościem. Bóg jednak nie milczał. On to sprawił, że któregoś dnia obudziłem się... w Czyśćcu! Byłem otoczony tłumem niewidzialnych postaci, które szły przez mój pokój z chóralną modlitwą. Było to tylko jedno zdanie, ale wypowiedzane z tak niezwykłym napięciem, natężeniem głosu, wewnętrznym ogniem, że takiej modlitwy nie usłyszysz się na ziemi. Było to chyba uwielbienie Boga, a może i okazanie Mu wdzięczności za dar oczyszczenia, z każdą chwilą przybliżającego do Nieba. Piszę „chyba”, gdyż tę modlitwę przez cały dzień nosiłem w pamięci i w sercu, ale jej nie zapisałem, a na drugi dzień rano nie pamiętałem już z niej ani słowa. Bóg tak jednak tym pokierował, że na następnym seminarium byłem jedynym studentem i mogłem swobodnie opowiedzieć to profesorowi, który... na takie świadectwo nie znalazł żadnego kontrargumentu i zamilkł!

### **Wieczność u dentysty**

Na KUL-u był gabinet dentystyczny, z którego skorzystałem, mając o jeden ząb za dużo, podobno spróchniały. Był to dolny ząb trzonowy, trudny do wyrwania, więc konieczne było znieczulenie. Za pierwszym razem – nieskuteczne, za drugim tak samo, więc pozostało rwanie „na żywca”. Dentysta strasznie się namęczył: obcęgami nie dał rady, zastosował jakąś dźwignię – bez efektu. Czas płynął, krew się lała, siedział na mnie niemal okrakiem, w końcu rozłożył ręce: już tylko skierowanie do kliniki, nic nie poradzę. Ostatnia próba na szczęście zakończyła się powodzeniem.

Piszę to na zimno, jakbym był tylko widzem, ale ktoś, kto nie był w mojej skórze, nie potrafi sobie wyobrazić mojego cierpienia! W najcięższych chwilach wytrzymałem chyba tylko dzięki własnemu „środkowi znieczulającemu”, którym było... oderwanie świadomości od ciała i skierowanie jej ponad czas i przestrzeń. Wykorzystałem tu umiejętność, którą posiadałem jako kilkunastoletni chłopiec, gdy przed zaśnięciem moja dusza została na chwilę wyprowadzona z ciała i postawiona na progu zachwycającej Wieczności. Odtąd mogłem sobie to przeżycie przypominać i wykorzystywać, zwłaszcza przy codziennej modlitwie.

### **Oj ten kleryczek!**

#### **Moja wpadka z Abrahamem.**

Profesora biblistyki nazywaliśmy „Mojżeszem”. Znany był z ogromnej powściągliwości, spokoju, jakby ciąglego zamyślenia. Nawet moje potknięcie, które całą salę słuchaczy pobudziło do gromkiego śmiechu, w ogóle nie wytrąciło go z równowagi – ani drgnął, nawet nie mrugnął okiem! Otóż podczas mojej choroby miał wykład o dwóch jakby kolumnach, na których opierała się Biblia (i cała religia mojżeszowa), a były nimi Prawo i Prorocy. Dlatego też, jego zdaniem, na górze Tabor obok przemienionego Jezusa mogli pojawić się z Otchłani tylko ci dwaj mężowie: Mojżesz i Elias. Książd profesor postanowił sprawdzić, czy tę naukę przyswoił sobie także kleryk, który nie był na wykładzie, to znaczy właśnie ja (znalazł mnie na liście). I usłyszał ode mnie, że na górze Tabor pojawili się w obłoku Elias i... Abraham! Do dzisiaj nie wiem, dlaczego tak odpowiedziałem. Niedługo spotkamy się z moim wykładowcą w Niebie i myślę, że jeszcze z tego się pośmiejemy. Kto wie, czy nawet nie w pieciu, bo być może także dwaj Patriarchowie i Prorok chętnie usłyszą tę historyjkę...

#### **Blondynki w seminarium duchownym.**

Byłem „seniorem” kleryków, kimś w rodzaju przewodniczącego samorządu. Moim zadaniem było tworzenie imiennej listy prac i urzędów (zadań) kleryków w każdym tygodniu. Co jakiś czas kilku z nas musiało w ramach rekreacji, podczas której chętnie grano w siatkówkę, zająć się dość niewdzięczną i męczącą pracą. Gdyby ktoś z zewnątrz posłuchał takiego ogłoszenia w seminarium, mógłby być nim zszokowany: X, Y i Z „mają iść do blondynek”! Tak określaliśmy wiązanie i wrzucanie na wóz świnek, tuczonych między innymi na odpadkach z kuchni. Gdy musiałem to ogłosić, najchętniej powierzałem to zadanie swojemu zastępcy, a sam wcześniej wychodziłem z obiadu, gdyż wiedziałem, że wyczytani będą niezadowoleni: „Dlaczego ja? Przecież niedawno byłem! Czemu nie inni...?” Nie pomyśleli, że niektórzy z tych „innych” byli mieszczuchami i na widok świnki, szczerzącej w uśmiechu zęby, uciekaliby w popłochu!

### **W PRL-u wyprawa kleryków do kina.**

Gdy ktoś bardzo mi zachwalał film „Bitwa o Anglię” ze słynnym Dywizjonem 303, pomyślałem, że warto by było zaprowadzić do kina moich kolegów. Poszedłem z tą propozycją do księdza rektora seminarium. Zdziwiło mnie, że tak łatwo się zgodził: „W czym widzi problem? Niech sobie obejrzą!”. Czym prędzej to ogłosiłem, zebrałem od chętnych pieniądze i kupiliśmy bilety. Nie upłynęło wiele czasu, gdy zerwała się burza: ksiądz rektor uświadomił sobie (czy ktoś mu uświadomił?), że zgodził się nie na obejrzenie filmu w telewizji (wtedy i o takie pozwolenie trzeba było prosić), lecz w największym miejskim kinie! Musiałem jakoś tak lawirować, żeby nie wymógł na mnie zwrotu biletów, którego z początku się domagał, i uznał fakt za dokonany. I oto w kinie zaroilo się od sutann, czego Siedlce nigdy dotychczas nie widziały! Gwoli prawdy dodam jeszcze, że ten wyłom był tak wielki, że nie mógł się dokonać bez kontaktu z księdzem biskupem, panem życia lub śmierci pomysłu kinowego. Na szczęście, jak cesarz w starożytnym Rzymie, biskup uniósł kciuk w górę i pomysł ocalał.

I pomyśleć tylko, że teraz w ekran domowego kina, skacząc po setkach kanałów, wpatruje się większość duchownych, z zakonnikami włącznie... Wydaje im się, że już nie ma nad nimi żadnego „rektora” ani świadka, a tymczasem całe życie, nawet najmniejsze jego drobiazgi, uważnie rejestruje Niebo, ale niestety i piekło. A to już śmieszne nie jest!

### **Stary ser i muchy jako smakołyki.**

Moi koledzy klerycy, pochodzący ze wsi, przywozili sobie z domu smakołyki, np. kopę jajek, a i rodziny uzupełniały ich zapasy. U mnie w domu się nie przelewało i musiałem sam sobie radzić. Gdy więc, najczęściej raz w tygodniu, na stole seminaryjnym pojawiały się ser i masło (na co dzień był tylko chleb ze smalcem i kawa), chowałem sobie cząstkę do wspólnej szafy na korytarzu na kolejne dni. W domu ze zgliwiałego sera, podgrzewanego z kminkiem, robiliśmy coś wspaniałego, więc zapach starego sera nie był dla mnie przykry, natomiast dla kolegów ze wsi, którzy wszystko mieli zawsze świeże, okazywał się chyba czymś trudnym do zniesienia. Gdy z szafy wносиłem do refektarza talerz z kilkudniowym serem, zatykali ostentacyjnie nosy, a bywało, że mijając tę szafę wyrzucali z niej mój smakołyk...

A co do much – zaczęło się chyba od tego, że jedna z nich utopiła się w obiadowej zupie i kolega ze wstrętem odsunął talerz od siebie. Widząc to marnotrawstwo poprosiłem, żeby wyłowiono i podano mi tę muchę, położyłem ją na języku i połknąłem z taką miną, jakbym doznawał rozkoszy podniebienia. Wyczyn ten stał się na tyle sławny, że potem kilka razy oczekiwano ode mnie powtórki. Kleryk niósł przez cały refektarz złowioną muchę, a ja ją połykałem, nie widząc w tym niczego niewłaściwego – przecież była czysta, skoro wykapała się w zupie! Gdyby ktoś wtedy udzielił mi życzliwej rady: durniu, nie rób z siebie błazna! – może bym posłuchał, ale nikt taki się nie znalazł. Podobno wszystkie nasze uczynki zapisane są w naszej Księdze Życia, więc zastanawiam się, w jakiej rubryce i po której stronie zapisał mój Anioł Stróż zjedanie much... Może dołączył jakiś swój komentarz? Niedługo się o tym przekonam.

### **Karnawał w seminarium duchownym.**

Na stole pojawiały się pączki, a w zacisznych kąciach seminaryjni komicy ćwiczyli swoje role. Narastała atmosfera tajemniczości i radosnego oczekiwania na kończący karnawał pogodny wieczór – z grecka „eutrapelia”, a po naszymu po prostu „ostatki”. Wszystkie teksty, a jakże, musiały przejść przez cenzurę, jednak ksiądz cenzor do końca nie wiedział, jak to się rozegra na scenie. Gdy w pierwszych krzesłach zasiedli zaproszeni goście – nasi księża profesorowie – wśród nich napięcie rosnęło, gdyż było dla nich tajemnicą, który z nich zostanie wzięty na kiel i w jaki sposób. W takich sytuacjach trudno być na luzie, a tylko prawdziwa pokora nie boi się odrobinę uszczypliwych dowcipów...

Bywało różnie, ale zwykle jednym z obiektów zainteresowania kleryków był sam ksiądz rektor, którego styl wypowiedzi bywał przez nich naśladowany, gdy np. wspominali wycieczki z nim brzegiem morza (na takiej i ja byłem). Ten sam rektor, za którego panowania udało się dokonać

wyłomu w tradycji i napęlić sutannami miejskie kino.

Ksiądz rektor znany był z pogody ducha, którą czerpał chyba z dużej żółtej obiadowej główki. Gdy na stoliku dyżurnym na końcu refektarza pojawiała się cebula, od razu wiedzieliśmy, kto będzie czuwał nad nami tym razem. Wspominano przez lata cierpliwość, jaką wykazał się w ciemnościach klatki schodowej, gdy nagle kleryk... wskoczył mu „na barana”! Dowcipniś dopiero na dole schodów zorientował się, na którym karku zjechał na dół... Nasz „SzeF”, jak go nazywaliśmy, nie gniewał się, gdy ze sceny zeskoczyła niewidzialna tresowana pchła, wypuszczona z pudełka, lecz na tyle zbuntowana, że mimo nawoływania wrócić do niego nie chciała. Dała się złapać... dopiero na nodze rektora! Nie wszyscy księża byli jednak, jak on, odporni na takie polowania. Już nie pamiętam, ale być może któryś z nich podniósł tak głośny protest i tak się oburzył, że odtąd „ostatki” obumarły... Jak przez mgłę pamiętam, że uczestniczyły w nich także siostry bezhabitowe, dla których tenże refektarz – jedyna w seminarium duża sala, która mogła stawać się teatrem – była stałym miejscem pracy. Wybuchy śmiechu były więc damsko-męskie.

### **Adept jogi i jego biskup.**

Polubiłem te postawy („asany”) już w seminarium duchownym i kontynuowałem je w czasie studiów, jednak w końcu wpadłem w pułapkę medytacji w dalekowschodnim stylu, która poraniła moją duszę i przed którą wszystkich ostrzegam. „Stanie na głowie”, a właściwie na głowie i na łokciach jednocześnie, bywało dla mnie naprawdę dobrym i szybkim wypoczynkiem. Praktykowałem je także jako diakon, towarzysząc swojemu biskupowi w czasie wizytacji kanonicznych różnych parafii. Pewnego razu zdarzyło się, że biskup zastał mnie niechcący w takiej odwróconej postawie... na swoim własnym łóżku! „Co ty robisz, diakonku?!” – zawołał. Nie pamiętam, co mu wtedy odpowiedziałem, ale gdy niedługo spotkam go w Niebie (to właśnie on mnie ostatnio do niego przywołuje), przypomnimy sobie na wesoło to zdarzenie. W Niebie joginów już nie ma, a i odpoczynek nie jest tam potrzebny, gdyż nic nikogo nie męczy ani nie zagraża jego zdrowiu. Ziemianie by na to powiedzieli: „Tylko żyć, a nie umierać!”, jednak tam byłoby to zupełnie bez sensu...

## **Migawki z podróży**

### **Msza na Równiku**

Gdybyśmy przewiercili glob ziemski na wylot, widzielibyśmy podeszwy (albo bose stopy) ludzi chodzących do góry nogami, chociaż oni to samo powiedzieliby o nas. Choć ten glob jest ogromny, zawsze w wyobraźni możemy jak piłkę wziąć go w dłoń i ofiarować Bogu. Moja wyobraźnia pracowała jednak szczególnie intensywnie na Równiku. Płynąc statkiem do Argentyny, wykorzystywałem do Mszy świętej maleńką kabinę pilota, w niej też tak zaplanowałem godzinę Mszy, że w chwili gdy syrena statku obwieszczała Równik, cały glob „pode mną” ofiarowałem Bogu. Był to pierwszy miesiąc mojego kapłańskiego życia, więc jako nowicjusz reagowałem na wszystko tak a nie inaczej. Dzisiaj nie potrzebuję Równika, by czynić to samo, wciąż pamiętając o tym, że Bóg Ojciec przy swoim objawieniu się siostrze Eugenii Ravasio tulił do swego serca kulę ziemską wraz ze wszystkimi ziemskimi dziećmi. Oby tylko te dzieci chciały z miłością przytulić się do Jego serca!

### **Turysta bładzioszek pod Równikiem.**

W seminarium od wiosny nie było czasu na opalanie się! Wyruszając statkiem na południową półkulę liczyłem na to, że na Atlantyku opalę się na Indianina, ale szybko zorientowałem się, że nic z tego nie będzie: słońce mocno grzało, ale to chyba parujący ocean pochłaniał część jego światła. Gdy znalazłem się więc w pierwszym porcie, w Recife, i w charakterze turysty wyruszyłem do miasta, obiegła mnie od razu czereda dzieciaków z wyciągniętymi rękami i nadzieją w oczach. Nie miałem co im dać, więc schowałem się na statek i zacząłem kombinować, jakby tu wtopić się w tłum. Ubiorem się nie różniłem. Może to mój długi nos...? Przecież go nie skrócę. Wreszcie przemówiło lustro: wyglądasz jak młynarz przy pracy! I co z tego – przecież się nie opalę... Już wiem! – zaświtał mi w głowie dobry pomysł: przecież w mesie pasażerskiej w szafce jest kakao... Z czym je wymie-

sząć...? Jest olejek do opalania! Przystąpiłem do pracy, pokrywając twarz, a chyba trochę i inne odsłonięte części ciała, takim właśnie mazidłem. Cuchnęło na odległość, ale za to w oczach zbrązowałem i z dumną miną wyruszyłem do miasta. Uff jak gorąco, pot zaczął spływać mi po twarzy, ale bałem się jej dotknąć, wiadomo czemu. W pewnej chwili stanąłem przed wystawą sklepową, działającą jak lustro, i... zbaraniałem! Zobaczyłem odbicie swojej twarzy z białymi poprzecznymi zmarszczkami na czole i z innymi białymi smugami na drodze spływającego potu! Chyba nie muszę opisywać, z jakim wstydem na twarzy i z jaką szybkością zwiewałem na statek, żeby się umyć i znowu stać się, niestety, turystą prosto z młyna...

### **Astronomiczne odkrycie.**

Nauczyłem się już rozpoznawać na niebie Krzyż Południa i poczułem na własnej skórze żar zimowego słońca (u nas wakacje, ale nasze polskie lato było u nich zimą), ale to było niewiele. Z ruską kamerą w ręku (film o szer. 6 mm, nakręcana na sprężynę) mogłem czuć się prawdziwym turystą, gdyż ponad 50 lat temu nikt tam niczego nie filmował. Piękne pałacyki wśród palm przykuwały moją uwagę i chciałem sfilmować jeden z nich, ale przeszkadzał mi cień, więc poszedłem dalej z tą myślą, że w drodze powrotnej będę miał pięknie oświetlony fronton. Jednak gdy wracałem, było wprost przeciwnie: cały schował się w cieniu... Zacząłem kombinować i przyglądać się drodze słońca, aż mnie olśniło: przecież znajduję się na południowej półkuli, więc i słońce wędruje po niebie od ręki prawej do lewej! Tyle lat nauki, geografia w szkole, a trzeba było przebyć ponad 10 tysięcy kilometrów, żeby zderzyć się bezpośrednio z tak oczywistym faktem!

### **Staroświeckie łóżce w klasztorze?**

Długi załadunek statku w Rio de Janeiro stworzył możliwość, by na kilka dni oddalić się od niego i zawitać do Sao Paulo. Trafiłem do klasztoru benedyktynów i tam, w użyczonym mi pokoju, próbowałem zanurzyć się w upragnionej ciszy i kontemplacji. Nadeszła noc, pora iść spać. Zdziwiło mnie, że mam tam ogromne łóżce, obwieszane ze wszystkich stron nie zasłonami (bo po co by były?), lecz białymi firankami! Wyglądało mi ono na mebel dawnych magnatów w ich zamkach, widziany na filmach. Zarzuciłem więc firankę na górną ramę i spokojnie zamknąłem oczy. Prawie natychmiast coś mi zaczęło łązić po twarzy... Zerwałem się i zdębiałem: oto pokój, do tej pory pusty, napełnił się komarami! Okno było zamknięte, więc pewno dostały się pod progiem. Gdy tak stałem bezradnie, spojrzałem na te firanki i olśniło mnie: durniu, przecież to jest moskitiera! Musiałeś przejechać pół świata, żeby sobie to skojarzyć: mosquito to właśnie po hiszpańsku komar, i od niego ta nazwa! Rzuciłem się więc do akcji: opuściłem „firankę” i jakoś z trudem uśmierciłem napastników nad „królewskim” łóżem, by spokojnie zasnąć. Gdy dzień zaświtał, w całym pokoju nie było ani jednego komara – gdzieś się ulotniły...

### **W towarzystwie marynarzy.**

Czułem się w tej podróży bardzo samotny, nie mając z kim wyruszać na zwiedzanie portów. Próbowałem więc zbliżyć się do marynarzy, ci jednak... nie czuli potrzeby zbliżenia się do mnie. Gdy podczas obierania ziemniaków w kuchni zaproponowałem im udział we Mszy świętej w najbliższą niedzielę, popatrzyli na mnie przerażeni i w milczeniu pospuszczali głowy – nie mogli sobie wyobrazić siebie w tej roli. Pominę tematy rozmów z nimi, natomiast „pochwalę się” tym, że w Hamburgu zaprowadzili mnie na „targ prostytutek” (bogatsze miały swoje kioski, a biedniejsze stały w wielkim kręgu), a w portach Brazylii szliśmy do tych burdeli, w których mogli za wielką sumę sprzedać najtańsze polskie perfumy (oczywiście zachwalane jako „marka europejska”), z rozkoszną miną wypuszczając kroplę na własną rękę, a potem na rękę przywoływanych pięknych pań. Te transakcje pozwalały im na obfite zaopatrzenie się w „ognistą wodę” (a może w „mleko od wściekłej krowy”?), w dni wolne od wachty mieli czym się raczyć. W ich życie intymne nie wnikałem, nie chwalili się nim, natomiast musiałem jako ksiądz udawać – bo cóż mogłem zrobić – że nie widzę, jak w drodze przez Atlantyk bosman (czyli drugi po kapitanie) poderwał jedną z pasażerek i chodzili ze sobą jak naprawdę zakochana para.

Półtora miesiąca na statku to dużo! Drobnicowiec zawijał do portów po towar, a 12 pasażerów musiało żyć własnym życiem. Nie umiałem przyzwycząć się do wibracji kadłuba i słodkiego zapachu spalin, tęskniłem za świeżym powietrzem. Ponieważ pogoda zwykle była piękna, pewnej nocy wpadłem na pomysł, żeby przenocować pod gołym niebem. Bez pytania pożyczyłem sobie plandekę, którą przykryto zwinięty trap (sznurową drabinę), i zawiesiłem ją na linie nad ładownią, jakby była hamakiem. Poduszka do środka i... dobranoc! Po jakimś czasie nagle zacząłem w swoim „hamaku” unosić się do góry! Wiedziałem, że to żart marynarzy, ale zacząłem zastanawiać się czy mnie opuszczą, bo inaczej bym z tej plandeki nie wylazł. Na szczęście włączyli wyciągarkę raz i drugi, pobujali mnie i dali spokój. Gdybym ich spotkał w Niebie, byłoby się z czego pośmiać, ale obawiam się, że te fajne chłopcy mogły jeszcze do niego nie dojść. Na szczęście Ty, sprawiedliwy Boże, miewasz dobry humor jako nasz idealny Ojciec, więc kto wie, czy i z tym Czyścem nie bywa różnie... Proszę więc, zlituj się i weź ich do Nieba, gdzie masz tyle pięknej wody – rzeki, jeziora, morza – to przecież ich żywioł.

### **W roli poligloty...**

Prawie wcale, poza łaciną i rosyjskim, nie znając języków obcych, musiałem jednak jakoś się porozumiewać. Tak więc w Hamburgu udawałem znawcę francuskiego (Niemcy rozkładali bezradnie ręce), a w Brazylii hiszpańskiego, jednak w tym drugim wypadku... zostałem rozszyfrowany! Jakoś dogadałem się w którymś z portów, może był to Santos, że nie mogę wieczorem w tym kościele odprawić Mszy świętej, ponieważ zaraz ma być „casamiento”. Nie znałem tego słowa i okazałem to po sobie, co wywołało ogromne zdumienie mojego rozmówcy, chyba zakonnika: „Jak to, jesteś księdzem katolickim i twierdzisz że znasz hiszpański, a nie rozumiesz co to casamiento?!” Po tych słowach wykonał gest podawania sobie dłoni i wsuwania na palec obrączki. Do dzisiaj pamiętam, jak głupio się wtedy czułem!

Przed podróżą, jeszcze jako kleryk, zdążyłem liznąć trochę hiszpańskiego, co miało się bardzo przydać. Przewidziałem kilka pytań, z którymi mogę się spotkać, więc w Polsce zajrzałem do słownika. Gdy w towarzystwie Polaków znaleźliśmy się w pięknym argentyńskim Bariloche i czekaliśmy, aż nad ogniem upiecze się pół krowy (tzw. asado), wywiązała się rozmowa, z której niczego w zasadzie nie rozumiałem. Jednak w pewnym momencie zauważono mnie i o coś zapytano, nie pamiętam już o co. Wykorzystałem tę sytuację, by wykrztusić z siebie tylko jedno zdanie wcześniej „przećwiczone”: mój ojciec ma pasiekę, w której znajduje się trzydzieści uli. Dwa słowa hiszpańskie rzadko używane: pasieka i ule (un abejar a treinta colmenas) spowodowały, że wszyscy spojrzeli na mnie nagle z podziwem jako na doskonałego znawcę ich języka!

W podobny sposób, przy użyciu tylko jednego słowa, wyszedłem na wytrawnego znawcę rosyjskiego. A było to tak. Taksówkarz wiozł mnie z Brześcia do parafii, w której spodziewałem się zastać na odpuszcie polskiego księdza. Próbowałem z nim rozmawiać. W drodze wykonał manewr wyprzedzania, podczas gdy z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, z którym o włos się nie zderzyliśmy. Zawołałem z oburzeniem: „Wot *maładiec!* Chociesz ubić mienia!” Jest to słowo powszechnie używane, ale tylko Rosjanie znają jego różne odcienie znaczeniowe, zależne od okoliczności, więc użycie go w takiej sytuacji przez Polaka wprawiło taksówkarza w osłupienie...

Język francuski opanowałem na tyle, że mogę czytać książki teologiczne, ale gdy dochodzi do rozmowy z kimś, choćby o pogodzie, brak mi podstawowych słów i zwrotów. Gdy więc w czasie półtoramiesięcznego pobytu we Francji, w Ogniskach Miłości Marty Robin, starałem się o przyjęcie i powierzenie mi prowadzenia w Polsce rekolekcji na ich zasadach, poddano mnie bacznej obserwacji. W kuchni się nie sprawdziłem, gdyż obrane przeze mnie marchewki musiano poprawiać, ale najgorzej było przy spotkaniach na schodach i w korytarzach: mijałem członków wspólnoty wyłącznie ze słowem „bązur” czyli „dzień dobry”, gdyż zawsze brakowało mi słów, by wdać się w rozmowę. Osądzono mnie w efekcie, że jestem „riżid” czyli sztywniak, surowy, oschły i nieprzystępny. Za to przy stole żartowałem z dwoma jak ja kandydatami z Afryki, np. chowając któremuś talerz czy robiąc pocieszne miny, tak że tam mówiono o mnie „kokę” czyli „kogucik”, co może znaczyć wesołek,

żartowniś, kawalarz. Gdy już mój czas się kończył i miano mnie odprawić, rada wspólnoty nie wybrała złotego środka między żartownisiem a ponurakiem, lecz opowiedziała się za tym drugim określeniem i to mi oznajmiono: taki człowiek, naszym zdaniem, nie nadaje się na ojca i przewodnika wspólnoty świeckich, poświęcającej się prowadzeniu rekolekcji. Już potem zorientowałem się, że starając się o przyjęcie, robiłem tam prawie wszystko w taki sposób, by mnie nie przyjęli. Jak wspaniały jest Bóg, który prowadzi nas drogami nam nieznanymi, by swoje przeprowadzić! Teraz widzę, jak potwornym błędem byłoby moje związanie się z tą wspólnotą i jak bardzo przeszkodziłoby mi to w zrealizowaniu mojego powołania.

### **Narciarz na lodzie.**

Gdy w roku 1970 znalazłem się w Patagonii, na południu Argentyny, zmierzając w kierunku gór, zaczynała się tam wiosna. Śniegu już nigdzie nie było, więc miejscowi narciarze oblegali ostatnią górę, na której zboczu utrzymał się on jeszcze w ciepłych promieniach słońca. Przyjaciele zaproponowali mi wypożyczenie nart na szczycie i dołączenie do zjeżdżających, co przyjąłem z entuzjazmem. Góra nie była wysoka, raczej dostosowana do moich możliwości, więc ruszyłem na start, lecz natychmiast ogarnęło mnie przerażenie: to, co z daleka wydawało się śniegiem, z bliska okazało się... lodem! Był on do tego stopnia nierówny, że nie wyobrażałem sobie, jak na nim można kierować nartami. Stałem i patrzyłem, nie umiejąc podjąć jakiejś mądrej decyzji, bo wycofać się wstyd, a zjechać straszno... Moi towarzysze naciskali na mnie, bo czas uciekał, więc w końcu ruszyłem naprzód – pewno z taką miną, jakbym już widział siebie turlającego się i połamanego – i w najwyższym napięciu, chyba cudem, zjechałem po tym zboczu. Za żadne skarby, nawet za Chiny Ludowe, nie powtórzyłbym tego eksperymentu, i to nawet wtedy, gdyby na dole czekała na mnie karetka pogotowia. Chyba że... (patrzę teraz w swoją lewą stronę)... chyba że ty sam, mój Aniele Stróżu – obejmując cię ramieniem – użyczyłbyś mi swoich skrzydeł! Śmiejesz się: „Na szczęście nigdy nie musiałem tego robić. A teraz już na to nie licz. W końcu życie jeszcze byś mi je poszarpał i zabrudził, i co...? Niedługo uściśniemy się i rozstaniemy, nareszcie odpocznę od ciebie. Oby tylko Szef, w nagrodę za zasługi przy tobie zdobyte, nie chciał mi przydzielić jeszcze lepszego gagatka, i to aż do końca świata! Niestety jeszcze na anielską emeryturę liczyć nie mogę...”

### **Chleb świętej Agaty a celnicy.**

Podróżowałem także na wschód, i to w okresie, w którym panował tam jeszcze komunizm. Poszedłem za radą doświadczonych rodaków i w swoim bagażu ukryłem „chleb świętej Agaty”, to znaczy chleb, poświęcony w jej liturgiczne wspomnienie dla ochrony przed pożarem albo do użycia w charakterze „gaśnicy”, gdy wrzuci się go do ognia. Jak mi mówiono – także dla ochrony przed celnikami.

Najpierw miałem przygodę z radzieckimi celnikami w Brześciu, gdy jechałem pociągiem na odpust Matki Bożej Ostrobramskiej do Wilna. Z tryumfem wyciągnęli z mojej torby ogromną ilość medalików, różańców i obrazków i rozłożyli je na ladzie, którą dokoła obstąpili, czekając na naczelnika, gdyż to on najwyraźniej musiał zareagować na moją (ich zdaniem) bezczelność. Byłem w sutannie, więc łatwiej zdołałem go (czy ich) przekonać, że to nie na sprzedaż, tylko dla przyjaciół do rozdania w czasie odpustu, więc machnęli ręką i z tym wszystkim mnie przepuścili.

Po raz drugi miałem kontakt już tylko z jednym z nich, gdy pociągiem jechałem do Kijowa na uroczystości, związane z 1000-leciem Chrztu Rusi. Wtedy miałem plecak z podobnymi przedmiotami plus butelkę wina mszalnego, oczywiście także z chlebem św. Agaty. Plecak napełniłem używaną damską garderobą w taki sposób, że celnik, grzebiąc w nim gorliwie aż do dna, nie wymacał ani różańców, ani – co jest zastanawiające – nawet butelki z winem. Niedługo spotkam się w Niebie ze świętą Agatą i podziękuję jej za pomoc, i to okazywaną nie tylko mnie, ale i tylu innym nieznanym mi ludziom, którzy dzięki niej śmieiej przekraczali granicę, obstawioną strażnikami, celnikami, czerwonymi gwiazdami oraz sierpem i młotem... Oczywiście nigdy nie pomagała przemytnikom alkoholu i papierosów, bo na tym się nie zna.



### **Moc Różańca wypróbowana!**

Wracalem do Polski pierwszym autokarem, jaki się w Medziugorju pojawił pod koniec wojny. Przybyłem tam z Włoch. Ziało grozą, strzały było słychać w Medziu często. Jechaliśmy nocą szosą nadmorską ze zgaszonymi światłami, ale zatrzymali nas żołnierze i dla naszego bezpieczeństwa kazali nam zjechać na prom albo czekać do rana. Poprowadziłem Różaniec jako egzorcyzm p-ko duchom, zagrządzającym nam drogę. Gdy go skończyliśmy, przyszedł żołnierz i machnął ręką: „Jedźcie prosto, droga jest bezpieczna!”

Wracalem do swojej parafii na Mszę świętą wieczorną, zupełne odludzie, jeszcze daleko, a tu nagle samochód gwałtownie zahamował. Felgi kół gorące – blokada hamulców, i to tak silna, że małego Fiata nie ruszę i o centymetr. Siadłem za kierownicą i odmówiłem dziesiątek Różańca z części Bolesnej jako egzorcyzm, a potem powoli ruszyłem, coraz szybciej – i zmysłem nie wierzę: felgi zimne – rogaty puścił! Zdążyłem bez problemu.

### **Podejrzany w oczach Żydów.**

Gdy po pięknej 10-dniowej pielgrzymce do Ziemi Świętej z Vassulą Ryden wracałem do Kraju, na lotnisku w Tel Avivie prześwietlono mój neseser, ale ponieważ byłem w koloratce, zwróciłem na siebie uwagę obsługi. Kazano mi wywalić wszystko na ladę i wygrzebano małą torebkę foliową z jakimiś ziołami. Chociaż mieli na niej swoją metkę – adres kibucu, w którym kupiłem tę przyprawę do zupy – zaczęli niuchać i węszyć, czy to nie są narkotyki! (tak myślę). Musiałem stać przy tej ladzie długo, może ze 40 minut, i wachać swoje brudne skarpetki, zanim nie rozpracowali tego „problemu” i mnie nie przepuścili. Gdy w międzyczasie pojawiła się para starszych Żydów, mających lecieć razem ze mną do Warszawy na osiedlenie w Polsce, ich bagaż na dwóch wielkich wózkach od razu skierowano do odprawy. Pokazano mi, kto rządzi tutaj i tam, w ich „Polin”.

### **Co wyziera spod tej sutanny...?**

#### **Wyłudzacze.**

Gdy pierwsze pieniądze, wypłacane co miesiąc przez proboszcza, zaczęły 54 lata temu wpływać do mojej kieszeni, w ślad za nimi zaczęły pojawiać się znający ich wartość, zwłaszcza gdy same przychodzą. Ilu ich było przez te lata, wprost trudno policzyć! Jeżeli mamy się pośmiać, to chyba z mojej naiwności i łatwowierności, bo sama litość dla biednych śmieszna nie jest, nawet gdy śmieszają bajeczki, opowiadane przez rzekomych biedaków.

Po raz pierwszy zawitała do mnie kobieta z dziewczynką kilkunastoletnią, robiąc na mnie dobre wrażenie, i poprosiła o niewielką pożyczkę, podając termin jej zwrotu. Terminu dotrzymała, pieniądze przyniosła, ale poprosiła tym razem o dużą kwotę. Zapisałem jej adres i gdy zwrot nie następował, poszedłem jej szukać. Okazało się, że taki adres nie istnieje!

Gdy jako proboszcz miałem zostać już tylko studentem, podeszła mnie znajoma z błaganiami za rodzinę swoich znajomych, żebym pożyczył im pieniądze na kupno mieszkania w bloku. Ktoś tam ma pracę, więc będą mieli z czego spłacać, oczywiście bez terminu. Pożyczyłem. Za jakiś czas został im tylko płacz: pracy nie ma, a dług na nas wisi! Jedyne co możemy zrobić, to grać w totolotka – jeżeli wygramy, to kiedzu zwrócimy. I tak grają do dzisiaj... przez 35 lat!

Tak bywało dawniej, a teraz, gdy jestem przed metą, mogę tylko im wszystkim przebaczyć i wypraszać Boże Miłosierdzie. A mnie niech tu wybaczą ci, którzy spodziewali się licznych pikantnych szczegółów (a byłoby ich dużo!), i niech obejdą się smakiem. Śmieję się sam ze siebie i wciąż nie mogę uwierzyć, że nie wystarczyły mi przykre doświadczenia z jednymi ludźmi, by mnie nauczyć ostrożności i roztropności w podejściu do drugich. Śmiejcie się z tego razem ze mną, wielkim naiwniakiem!

#### **Zimowy prysznic i mięso.**

W jednej z parafii dostałem pokój z kaflowym piecem, ale bez dostępu do łazienki, zastrzeżonej dla proboszcza. Młodość i niezłe krążenie pozwoliły mi na życie bez palenia w piecu i bez łóżka (spałem i siedziałem w kapocie na materacu), a łazienkę zastąpiłem... prysznicem, zrobionym z

konewki, zawieszanej na trzepaku do dywanów pod oknem łazienki proboszczowskiej. Szedłem zimą z konewką do pobliskiej studni, napełniałem ją wodą i „morsowałem” bez szwanku dla zdrowia. Po jakimś czasie proboszcz zaproponował mi korzystanie z łazienki, ale zrobił to bez przekonania, więc pewno zadowolony był z mojej odmowy.

Piszę to nie po to by, się „chwalić” podobnymi wyczynami, lecz by przyznać się do tego, że nieco odstawałem od szablonu i pewno żegnano mnie w parafiach z większą satysfakcją niż witano. Na pewno gospodynie – te załamywały ręce: czym ja będę takiego „bezmięsnego” żywić?! Nawet ryb jeść nie chce i zupy na mięsie? Intrygowało to milicję, która w czasie przesłuchania w stanie wojennym zadała mi pytanie, co ma znaczyć to życie bez mięsa... Ostatnio do mięsa wróciłem, więc problem już nie istnieje. Nie utuczyłem się jednak. Teraz moja waga rozczaruje cmentarne mrówki, a za to ucieszy smutnych panów od pogrzebów. Trudno wszystkim na raz dogodzić...

Skoro jesteśmy przy mięsie – sięgnę teraz do wspomnień rodzinnych. Otóż w mojej wsi co jakiś czas sąsiedzi zabijali tucznika i część mięsa z niego przynosili na sprzedaż. Jeden z nich zawiązał kawał mięsa w kwiciastą chustę i niosąc je na rękach, zawitał do mojego domu ze słowami: „Mam synka”. Mama była pediatrą, z jej bezinteresownej pomocy co jakiś korzystali miejscowi ludzie, więc widok ciężkiego zawiniątka i słowa sąsiada podziały na nią w sposób dla niej charakterystyczny: nie zastanawiając się nad tym, że facet jest w zbyt podeszłym jak na ojca wieku, poszła do pokoju, rozłożyła na łóżku ceratę, przygotowała wagę do ważenia dzieci i zaprosiła sąsiada: „Proszę z tym synkiem”. Wyobraźcie sobie konsternację rzekomego „ojca” i jego odpowiedź: „Pani Doktor, ale ja przyniósł nie synka, tylko s y n k a !” (co miało znaczyć: „szynkę”). Gdy rozwinął na stole zawiniątko – Mama w śmiech, a potem to zdarzenie opowiadała przez lata w środowisku lekarskim.

### **Wikary przepracowany.**

W dużej miejskiej parafii nie było łatwo pogodzić katechizację młodzieży z wizytą duszpasterską zwaną „kolędą”, która trwała całymi tygodniami. Najtrudniej było w blokach, gdy trzeba było chodzić po piętrach, zanurzając się w coraz bardziej zużyтым powietrzu. Bywałem tym tak wyczerpany, że aż półprytmny – wchodząc do mieszkań, bezwładnie opierałem się o futrynę czy o ścianę – aby jeszcze to następne, jeszcze wyżej... I co w tym śmiesznego, zapytacie? Otóż zdarzyło mi się przez otwarte szeroko drzwi, w których stała uśmiechnięta rodzina (był tam ktoś z małym dzieckiem na rękę) wejść prosto do pokoju gościnnego. Zdumiało mnie to, że stół był nakryty białym obrusem, ale zupełnie pusty. Zapytałem, czy są przygotowani, bo nie mają krzyża i wody święconej, a na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie i ogromne zdziwienie: „Przecież Ksiądz był tu u nas przed chwilą na modlitwie, wszystko było! To Ksiądz nie pamięta, Ksiądz nas nie poznaje? Przecież to nasza Karioczka kochana, o której imię Ksiądz pytał...!” Tak to było, a chociaż prawie 50 lat minęło, to imię Karioka wciąż mi tkwi w pamięci wraz z całą komiczną sytuacją, z której wtedy nie miałem siły ani ochoty się pośmiać.

### **Wikary roztargniony.**

Woźnica czeka (samochołów na wsi jeszcze nie było), trzeba jechać z posługą sakramentalną do odległej o ok. 7 kilometrów wsi. W pośpiechu wyjmuję z tabernakulum Pana Jezusa i zawieszam na szyi tzw. bursę, czyli torebkę służącą do takiej posługi. Jedziemy w obowiązującym milczeniu, u celu podróży spora grupa ludzi z gromnicami w rękę śpiewa pieśni eucharystyczne na powitanie, także podczas spowiedzi chorego za zamkniętymi drzwiami. Nagle te drzwi się otwierają i ukazuje się w nich wikary – właśnie ja – bezradnym gestem rozłożonych rąk podkreślając charakter swojego wyczynu: „Nie wiem jak to się stało, ale Pan Jezus został w kościele i trzeba po Niego jechać!”. Biedny woźnica, biedny koń: mróz, ostry wiatr, a tu trzeba człap-człap w tę samą drogę... Ile czasu jechaliśmy, nie pamiętam, ale trzeba podziwiać pobożność tamtejszych ludzi, którzy po raz drugi przyszli powitać i adorować Pana Jezusa. Nie wiem, czy patrzyli na twarz mało pobożnego, a przy tym roztargnionego i zmarzniętego wikarego, który ze wstydu wtulił uszy w kołnierz i udawał, że strasznie się spieszy...

### **Proboszcz aktywista.**

Wzorując się na starszych i doświadczonych proboszczach trzymałem się zasady, że w parafii stale musi się coś dziać, żeby ludzie chętnie sięgali do kieszeni po ofiary i uczestniczyli w zaplanowanych pracach. Jednak była to mała wiejska parafijka, więc gdy przychodziło do wyznaczenia i odczytania w niedzielę nazwisk parafian zaproszonych do pomocy, skóra na mnie cierpła. Pod koniec prawie 10-letniego pasterzowania niektórzy parafianie mieli już tego dosyć i po prostu nie przychodzili ani do pomocy w polu, ani do pracy przy kościele, a na zastępstwo nikogo nie szukali. Nie było jeszcze wtedy telefonów, by do nich dotrzeć i czegoś się dowiedzieć, więc siedzieli cicho, zadowoleni z tego stanu rzeczy.

Pewnego razu wsiadłem na rower i ruszyłem na przejażdżkę po parafii, mając zamiar „tak sobie na luzie” z ludźmi porozmawiać, choćby tylko o pogodzie. Dotychczas, jeśli gdzieś mnie widziano, to wyłącznie w ramach „łapanek” do pracy, więc i tym razem podobnie mnie postrzegano: ludzie chowali się, bali się podejść bliżej, a gdy nagle zaskoczyłem ich w domu, bez ogródek mnie zapytali: „Proboszczu, znowu jakaś praca...? W czym trzeba pomóc?”. Nie mogli uwierzyć w to, że tym razem niczego nie potrzebuję ani nie oczekuję od nich. Pewno po cichu myśleli: co mu się stało? Coś mu odbiło? A może się nudzi i nie wie, co robić z czasem? Nie pamiętam, czy jeszcze później w podobnym charakterze pojawiałem się w wioskach, chociaż – muszę to przyznać – było to od początku moim marzeniem i widziałem siebie wśród nich „tak na luzie” jak najczęściej. A więc była to szansa na zawsze zmarnowana.

### **Oborę i chlew przerobić na teatr...**

Miałem dobrą i wierną radę parafialną damsko męską i zawsze mogłem na nią liczyć. Gdy już coś z nimi zostało omówione i ustalone, imponowało mi „demokratyczne” ogłoszenie w kościele: „Z radą parafialną postanowiliśmy to i owo...” Zawdzięczam jej także to, że wyhamowywała niektóre moje pomysły i inicjatywy, a nawet gasiła je w załączku. Spotkało to m.in. ideę zapraszania do parafii grupy teatralnej z przedstawieniami. Mając to w planie, upatrzyłem sobie na to idealne, jak mi się wydawało, i dokładnie przeze mnie wymierzone pomieszczenie, wymagające remontu. Był to chlewik i sąsiadująca z nim przez ścianę (tę trzeba by było wyburzyć) oborę, od dawna nie używane. Z tryumfem, przekonany o wspaniałości swojego projektu, zaprowadziłem tam moją radę, która – myślałem – oniemiała z zachwyty, gdyż w milczeniu tylko spoglądali na siebie. Potem, przy stole, pokręcili głowami i rzekli: „Proboszczu, może i dobry ten pomysł, ale my już dość starzy, młodzieży mało, kto tu przyjdzie na takie sztuki...? A poza tym Proboszcz się na sprawach wiejskich raczej nie zna, więc i niczego nie hoduje, a przy tym mięsa nie je, ale przecież w końcu odejdzie, a jego następcę...? Gdyby był ze wsi i chciał tu hodować świnie, to jak miałby to robić w teatrze...? Trzeba by było przerabiać teatr na chlew!” Musiałem przyznać im rację...

### **Jesteśmy za, a nawet przeciw!**

Sklep spożywczy nieopodal kościoła, niestety otwierany i w niedziele, przyciągał nie tylko moich parafian, ale i dalszych, szukających w nim piwa, jak osesek szuka piersi matki. Piecyk w sklepie pozwalał zimą na podgrzewanie tego eliksiru, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Jego amatorzy stawali się nałogowcami, ku przerażeniu rodzin podnoszących alarm.

Musiałem coś z tym zrobić, więc wykorzystałem do tego celu „kolędę” w domach parafian. Używałem najmocniejszych argumentów różnej natury – był w nich i Bóg, i diabeł – a po zmiękczeniu (jak mi się wydawało) twardych skał prosiłem mężczyzn o podpisanie się na liście żądających wycofania piwa ze sklepu. Większość to zrobiła, więc po zamknięciu listy napisałem podanie do urzędu gminy i dołączyłem do niego podpisy. Czekaliśmy na reakcję urzędu.

W niedzielę wieczorem moje chłopcy zasiadły w szkole w ławkach (długich, nie szkolnych), a siedzący za zielonym stolikiem urzędnik odczytał moje podanie. Z lubością słuchały go moje uszy, a duch przymierzał się już do zwycięstwa. Wtedy okazało się, że to nie jakiś zwykły gryzpiórek (tak się mówiło dawniej, teraz długopisów nikt z dorosłych nie gryzie), tylko niezły spryciarz! Zrobił

posunięciu, które mnie tak zaskoczyło, że nie zdobyłem się na protest, chociaż podejrzewałem, do czego on zmierza. Na jego komendę miało się teraz odbyć głosowanie, weryfikujące prawdziwość podpisów, a polegające na tym, że opowiadający się za wycofaniem piwa ze sklepu mieli stanąć pod ścianą (a więc – uwaga! – wykazać się aktywnością, i to na oczach wszystkich), a pozostali mieli pozostać w ławkach... Chyba nie trzeba pisać, że moje chłopcy pospuszczały głowy, niektórzy wtulili je nawet w kołnierz, i ani drgnęli, a pod ścianą... musiałem stanąć ja! Na szczęście za chwilę najwierniejszy członek rady parafialnej stanął przy mnie ramię w ramię. W ten sposób, stawiając mnie pod ścianą, parafianie rozstrzelali swojego proboszcza: „Jestem przeciwko, a nawet za”. „Przeciwko” – mówił ich podpis, a „za” – ich dwie litery, mocno przyklejone do szkolnej ławy...

### **Biskupie, daj nam normalnego proboszcza!**

Tak rzeczywiście było: delegacja udała się do biskupa „w mojej sprawie”. A oto jak do tego doszło. Z okazji głównej w parafii uroczystości odpustowej strażacy w jednej z wsi co roku urządzali w swoim budynku zabawę, suto zakrapianą alkoholem. Próbowałem ich od tego odwozić (sierpień ma być bez alkoholu) i raz się to udało, więc miałem nadzieję, że problem został rozwiązany. W roku następnym 15 sierpnia piękny wieniec dożynkowy przyniosła ta wieś do kościoła, a ja spokojnie pojechałem do rodzinnego domu. Gdy wróciłem wieczorem, łupnęła we mnie wieść: zabawa w K.! Jeśli zabawa, to wiadomo jaka, bo ludzie bez alkoholu bawić by się tam nie umieli. Z oburzeniem owinąłem więc ich wieniec czarną szarfą, razem z klerykiem, moim przyjacielem, zawieźliśmy go na dachu samochodu i wnieśliśmy w milczeniu na podwyższenie dla orkiestry. Niestety podziało to na tych rozbawionych ludzi w kierunku innym niż się spodziewałem: wieniec wynieśli do garażu, bawili się dalej, a potem zmontowali delegację, która domagała się od biskupa usunięcia mnie z parafii i przysłania im „normalnego” proboszcza...

### **Egzorcyzmowanie mojej parafii.**

Jeszcze wcześniej w tej „wsi od zabawy” rozegrała się inna walka, a było to w czasie nawiedzenia parafii przez Matkę Bożą Kodeńską. Jedną z reprezentacyjnych dekoracji miały stanowić chyba metrowej wysokości pasy niebieskiego materiału, umieszczone na dwóch listewkach i słupkach wbitych w ziemię, stanowiące tło pod wielkie litery z białej taśmy. Było ich aż 29, a ponieważ tylko ta wieś miała dostatecznie długą prostą szosę, i do tego na trasie wjazdu Obrazu z sąsiedniej parafii, to właśnie w niej znalazły się wszystkie litery. Stanowiły one część „egzorcyzmu Maryjnego”: „Potężna Niebios Królowo i Pani Aniołów, która otrzymałaś od Boga posłannictwo i władzę, by zetrzeć głowę szatana, prosimy Cię pokornie, ROZKAŻ HUFCOM ANIELSKIM, ABY ŚCIGAŁY SZATANÓW, stłumiły ich zuchwałość, a zwalczając ich wszędzie, strąciły do piekła. Amen”. Wzdłuż szosy znalazły się tylko litery wyżej wyróżnionych słów.

Niebo było lekko zachmurzone, a wiatr nagle przybrał na sile i zaczął dziwnym sposobem odrywać litery od tła – ich części fruwały, niektóre stawały się przez to nieczytelne. Moje parafianki, uzbrojone w igły i nici, ruszyły na odsiecz, która nie okazała się jednak całkiem skuteczna i do dzisiaj nie wiem, czy jadąca z Obrazem kawalkada zdołała odczytać napis.

Biskup przyjechał do mojej plebanii dużo wcześniej, a ta, jak to na jesieni, była już wychłodzona. Zareagował na to: „Braciszku, jakoś tu nie za ciepło u ciebie...?” (był chudy, a przy potężnym ordynariuszu wyglądał zawsze na jeszcze chudsze). Grzejnika elektrycznego nie miałem, ale przecież był piec centralnego ogrzewania – próbowałem w nim napalić, ale trafiła kosa na kamień! Dym szybko nappełnił całą plebanię, gdyż powietrze cofało się do domu. Gdy nie pomogła woda święcona, zaalarmowałem parafian, którzy weszli na dach i próbowali przepchać i oczyścić komin. Teraz już wiem, że na jesieni należy po raz pierwszy rozpalić ogień nie w piecu, a w kominie, żeby uniknąć tego problemu. Wtedy trzeba było ten błąd przypłacić natykiem się dymu, i to wraz z biednym biskupem... Osoby postronne szeptały między sobą o jakimś rogatym i to jemu przypisywały zrobienie nam psikusa. Nigdy nie wiadomo, czy w podobnych sytuacjach to nie on „pomaga”, ale jeśli tak, to zawsze złośliwie i z ponurą miną, gdyż ten nieszczęśnik na zawsze stracił poczucie humoru...

Na przywitanie Obrazu wszyscy wylegliśmy przed kościół. Gdy rozległy się krzyki: „Jadą!”, do

akcji ruszył kościelny, ale jakoś niemrawo: dzwon raz zagrzmiął i zamilkł, więcej się nie odezwał... Okazało się, że sznur został kościelnemu w garści!

I tak na każdym kroku „coś się działo”, aż do samego końca, to znaczy aż do chwili, gdy z Obrazem zbliżyliśmy się do kościoła w sąsiedniej parafii. Tym ostatnim akcentem naszej przygody był niezapomniany widok, który obserwowałem z niepokojem przez okno samochodu-kaplicy. Przed nami jechał stary Żuk ze zdjętą plandeką, na którym stali na baczność moi strażacy – prawie wszyscy ze „wsi z egzorcyzmem”. W pewnej chwili ich prawe tylne koło zaczęło dymić – złapali kaptur (oni mogli nawet tego nie widzieć ani nie czuć) – i tak na pustej feldze dojechali do celu. Tak więc wszystkie detale: porywisty wiatr, gryzący dym, urwany sznur, zepsute koło, wreszcie (z tej właśnie wsi, tyle że później) delegacja z żądaniem usunięcia proboszcza – świadczą o tym, jak bardzo piekło dostaje po głowie od Niewiasty Obleczonej w Słońce i jak bardzo tym się denerwuje! Kropką nad i było nieporozumienie, które spowodowało, że większość domów w tej wsi nagle zamknęła się na zawsze dla mnie w czasie wizyty „kolędowej”, chociaż rok wcześniej były otwarte, ale za długo by było o tym opowiadać. Dla ciekawskich informacja: te domy odwiedzało co roku dwóch proboszczów, należały do sąsiedniej parafii.

### **Jako spowiednik u sąsiadów.**

Najpierw jako wikarego, a potem jako proboszcza w roli spowiednika nie przyjmowano mnie w sąsiednich parafiach zbyt chętnie, ale jakie było inne wyjście? Proboszczowie mówili: gdy on przyjedzie (np. na drugorzędny odpust), to musisz mieć jakiegoś przygłuchego emeryta, żeby ludzie zdążyli się wyspowiadać, bo ten długo trzyma ludzi przy konfesjonale! Zaś ludzie mówili między sobą: idź do tamtego, który nie dosłyszysz i o nic nie pyta, zada pokutę i odpuka – masz problem z głową. Ale jeżeli chcesz się wyspowiadać tak naprawdę, idź do tego młodszego z długim nosem, a on cię wyspowiada jak na śmierć (opinia autentyczna, słowa także!). Sumienie nie pozwalało mi „odpukać” grzesznika i pozostawić go w przekonaniu, że Bóg darował mu winy, jeśli on nie przebaczył jeszcze bliźniemu (i to z serca, a nie inaczej), albo gdy nie widziałem u niego mocnego postanowienia poprawy: tego, że już nigdy w życiu nie chce wrócić do wyznanego grzechu ciężkiego (tak – nie chce, a nie gwarantuje że nie wróci). A jak tu szybko do tego kogoś przekonać...? Gdy to mi się nie udawało, musiałem odmówić rozgrzeszenia, licząc się z tym, że będzie w małym kościele zauważone, że nie poszedł do Komunii!

### **„Roztargniony” kolędnik.**

Od początku swojej służby wypracowałem sobie specyficzny styl wizyty „kolędowej”: siadałem przy stole, rozmawiałem, podpisywałem dzieciom zeszyty, a na samym końcu modliliśmy się. Mogłem wtedy w tę modlitwę wpleść coś z problemów, usłyszanych w czasie rozmowy, a – co najważniejsze – zostawić po sobie atmosferę wyciszenia i modlitwy (zwykle najdłużej pamięta się akcent końcowy). Zdarzało się, że do stołu ktoś podszedł i po cichu, bardzo życzliwie, mnie upomniał, wyobrażając sobie, że za chwilę się zerwę i wyjdę: „Ksiądz zapomniał się pomodlić!”.

### **Jak ksiądz wyciszał... siebie.**

Po latach moi uczniowie wspominali, jak reagowałem na ich szum i rozgardiasz w pewnych momentach katechezy: „Zamiast na nas krzyżeć, Ksiądz robił coś odwrotnego: stawał w milczeniu, a my za chwilę to zauważaliśmy i robiło się cicho...” Pamiętali też modlitwę na zakończenie: stojąc, kierowaliśmy do Boga nasze prośby, podobnie jak w kościele we Mszy, a one były podsumowaniem katechezy. Zachęcałem do tego, żeby także oni coś od siebie Bogu powiedzieli. Rzadko to się zdarzało, gdyż takie „publiczne wystąpienie” na oczach i uszach całej klasy wymagało nie lada odwagi.

### **Ksiądz „modlący się” i „pijany”.**

„Jak cię widzą, tak cię piszą” (czyli opisują)... Jako proboszcz miałem zwykle dwa miejsca, gdzie parafianie mogli mnie znaleźć: plebanię i kościół. Gdy widywali mnie w kościele o różnych porach, nieraz bardzo późno, z czasem utarło się określenie, które może śmieszyć, ale niekoniecznie (dlaczego

nie – chyba komentarz zbyteczny): „ksiądz modlący się”. Chciałem ich nauczyć, że Jezus żyje i jest wśród nas obecny, i dlatego często otwierałem kościół. Pewnego razu podpatrzyłem, jak młody rolnik zatrzymał traktor i bez koszuli, tak najzwyczajniej w świecie, wszedł się pomodlić. Powiedziałem potem wszystkim, że sprawił mi tym wielką radość, a chyba i Jezusowi także. Nie wiem, czy nie oburzyłem tym jakieś babuleńki...

Po dwóch tygodniach w śpiączce (a ratowano mnie w szpitalu z zatrucia, dla większości śmiertelnego), wyszedłem przygłuchy i chwiejąc się na nogach. Mózg już nie odzyskał pełnej kontroli nad narządami, więc mocno się nieraz zataczam, a do chodzenia z laską mnie nie ciągnie. Za bramę (na wieś) już nie wychodzę, odkąd nastraszyłem grupę pań: widząc mnie z daleka na chodniku (nierozpoznanego), przeszły na drugą stronę, żeby nie spotkać się z „pijakiem”... Coś podobnego zdarzało się w mieście, gdy mój ofiarny kierowca prowadził mnie za ramię, a widok zataczającego się księdza w koloratce budził zdziwienie i pewno spotykał się z różnymi komentarzami! Muszę do końca iść i dojść swoją drogą, gdyż między „modlącym się” a „pijakiem” złotego środka nie znajduję. Zresztą ludziom podobać się nie muszę, prawda? Niech sobie piszą i mówią co chcą. Ale Bogu – zawsze.

### **Woda księdza Adama.**

Zauważyłem, że księży, którzy przybywali na „moje” Msze pierwszosobotnie i mieli długie kolejki do spowiedzi, denerwowało nie tyle to, że po Mszy świętej poświęcałem przynoszoną wodę modlitwą ze starego Rytuału przedsoborowego, lecz określanie jej przez ludzi „wodą księdza Adama”. A więc co – pytali – to moje poświęcenie jest „gorsze”, skoro oni zjeżdżają się właśnie tutaj z butelkami? Nie brali tego pod uwagę, że „po owocach poznaje się każde drzewo” i że dawna modlitwa zawiera te elementy, których brakuje we wszystkich nowych, a mianowicie egzorcyzm p-ko złym duchom oraz prośbę o uwolnienie od ich wpływu wszystkich i wszystkiego, a ponadto o uzdrowienie chorych. Do tego taka modlitwa wymaga od poświęcającego ją kapłana wiary w to, że Bóg tych łask udziela, bo same słowa bez tej wiary nie działają same ze siebie.

Po latach takiego poświęcania na miejscu przekonałem się, że odległość dla Boga udzielającego łaski nie ma żadnego znaczenia, więc mogę modlitwą obejmować cały świat – wodę we wszystkich naczyniach, w których Rodacy przygotowali ją do poświęcenia na polską godzinę 10-tą w I soboty. Tego jednak długo piekło nie mogło wytrzymać! Posypały się piękne świadectwa z różnych stron i krajów wtedy, gdy o nie poprosiłem nie dla siebie, lecz dla mojego biskupa, który w swoim dekrecie nazwał taką praktykę poświęcaniem magicznym i mi jej zabronił (co nie przeszkodziło innym księżom w jej podtrzymywaniu). Tak, magicznym bez cudzysłowu, a więc tym samym uczynił ze mnie maga! A mag to czciciel szatana, modlący się nocami do niego, by udzielił mu mocy magicznej. Mimo mojej samoobrony i wspomnianych świadectw dekret p-ko „magowi w sutannie” nie został odwołany. Na szczęście z wody tak poświęcanej – choć już nie „wody księdza Adama” – nadal może korzystać na całym świecie każdy, kto jej potrzebuje! Szkoda, że tylko Polacy o niej wiedzą.

### **Rogaty lubi się mścić.**

Jako proboszcz w małej parafijce, pomagałem przy wizycie „kolędowej” w wielkiej, w której przez dwa lata byłem wikarym. Nie podobało się to w piekle. Gdy poświęcałem wodę modlitwą z egzorcyzmem w jednym z mieszkań, usłyszałem w myśli: „Zemszczę się na tobie za to”. Wracalem więc do domu bardzo ostrożnie pustą szosą przez las, gdy dopiero zaczęło się ściemniać. Mijał mnie ciągnik rolniczy, a gdy zrównaliśmy się, za moment powoli wyszedł na środek mojego pasa ruchu wielki czarny pies i stanął, a ja, nie mając innej możliwości, z całym pędem uderzyłem w niego, aż mój „maluch” podskoczył. Wgiął mi przedni pas – a więc była robota dla blacharza – i uszkodził reflektor. Na blasze pozostała jego sierść i kał, ale psa nigdzie nie było!

Innym razem, zimą, na tej samej szosie, gdy wracałem na wieczorną Mszę świętą, nagle ktoś zablokował mi kierownicę i musiałem ukosem wjechać okrakiem na młodą brzozę nad rowem, która ugięła się, zaszprzynowała i wyrzuciła mój samochód do góry. Przekoziołkował się w taki sposób, że upadł na bok, a ja w tej pozycji wyłaziłem z niego. Z nosa kapłała mi krew na obrazki Matki Bożej

Bolesnej, które wypadły na podłogę. Postawiłem samochód na kołach i pojechałem. Po kilku kilometrach zauważyłem, że jadę w odwrotnym kierunku!

Podobna sytuacja miała miejsce tydzień później na innej (pustej o zmroku) szosie, która łukiem szła w prawo, a ja nie miałem władzy nad kierownicą – musiałem jechać prosto, a więc do głębokiego rowu. Właściwie było to zbocze nasypu szosy, porośnięte krzakami. Samochód wklinował się między zbocze a krzaki, otworzyła się maska, a ja bezradnie patrzyłem, jak kwas siarkowy wycieka z akumulatora do wnętrza. Na szczęście nadjechał autobus i ludzie wynieśli mój samochodzik na szosę, więc na Mszę zdążyłem.

„Piekielnych” zdarzeń było mnóstwo w moim życiu, zwłaszcza przy pracy z komputerami i drukarkami, ale to zbyt szeroki temat. Do jednego się przyznam: w takich sytuacjach – wbrew oczekiwaniom piekła – to ja czułem się zwycięzcą i wielbiłem całym sobą Boga. Dziękowałem Mu za to, że rogaty musiał mocno dostać po głowie, skoro w taki a nie w inny sposób reaguje!

### **Diabelskie psikusy.**

Nienawiść panująca w piekle szczęścia nie daje, więc towarzyszy jej piekielny smutek. Superpyszny szef dusi każdą indywidualność i gasi w zarodku każdy przebłysk mniej piekielny. Możliwe, że demony bardzo cenią sobie możliwość pobytu na ziemi, gdzie czasami spod ich czarnej maski przebiera odrobina anielskiej natury, stworzonej przecież do wiecznego szczęścia i radości. Jednak nawet i wtedy chyba nie potrafią odróżnić wesołości od złości!

Opowiedziałem już o tym, jak bawili się moim samochodem, podstawiając mi kopyto w drodze do kościoła na Mszę świętą, czy też o ich reakcji na moc Różańca. Wpuścili mnie dwa razy w maliny, sugerując mi bliski odlot do Nieba, a nawet wskazując jego datę. Dzisiaj mogę się z tego pośmiać, ale gdy nadeszły oczekiwane godziny, nie było dla mnie łatwe czekanie na koleśiów, którzy mieli mnie wyprawić w najdalszą podróż! Sięgnę jednak do historyjek, które stały się udziałem tych ludzi, którzy u mnie szukali pomocy.

Zwykle piekielne psikusy są na porządku dziennym na całym świecie, chociaż rzadko są demonom przypisywane. Mechanikowi wypada śrubka i im dłużej jej szuka, tym bardziej się denerwuje, aż w końcu zaklnie. Właśnie na to czekał piekielny „pomocnik” i gdy się doczekał, odchodzi jako tryumfator, a śrubka nagle się znajduje. Albo coś ważnego leżało na wierzchu, a gdy trzeba się tym posłużyć, znika. Nie pomaga nerwowe przeszukiwanie całego domu, a po jakimś czasie, gdy to coś nie jest potrzebne, pojawia się w widocznym miejscu. Ale zdenerwowanie tym szukaniem, może gwałtownie okazywane, uczyniło smutnego dowcipnisa zwycięzcą.

Demony „pomagają” w kuchni, w różnych zajęciach gospodarskich, w skakaniu sobie ludzi do oczu, w pogrążaniu się w nałogu takim czy innym, w chorobach ludzi i zwierząt hodowlanych, w psuciu urzędów (a przynajmniej zakłócaniu ich pracy). Oto w drukarni z moich matryc foliowych zaczyna się druk tekstu, ale drukarka ściąga go na jedną stronę, po drugiej podwajając margines. Raz, drugi, trzeci – drukarz bezradnie rozkłada ręce, nie miał nigdy czegoś takiego. Kropię drukarkę wodą egzorcyzmowaną i wypowiadam krótki rozkaz-egzorcyzm, a potem proszę: drukuj Pan. Wszystko idzie bez szwanku! Inny przykład: z wielkiej drukarni pod Warszawą dzwonią do mnie: co Książdz za książkę nam dostarczył?! Największa, nowoczesna maszyna, do tej pory pracująca bez zarzutu, teraz nam się psuje! Poza tym nagle chwyciła drukarza i tak nim walnęła o ścianę, że musieliśmy wezwać karetkę! Mógłbym im opowiedzieć, co działo się u mnie w domu: wybuchł piec centralnego ogrzewania i wyrzucił wodę w taki sposób, że z sufitu lała się wprost na komputer, na którym właśnie nad tym tekstem pracowałem... Ta książka dla dzieci i młodzieży zawierała m.in. sny-wizje św. Jana Bosko o działaniu demonów, np. przeszkadzających chłopcom w spowiedzi.

Otrzymałem z różnych stron Kraju około dziesięciu zgłoszeń nadzwyczajnych zjawisk, najczęściej wyrządzanych szkód, jednak nie zawsze przypisywanych gościom z piekła. Przyniosła mi do poradni pewna kobieta metalową pokrywkę garnka, wygiętą w ósemkę, jako rzekomy dowód na to, jakiego ma podłego sąsiada. Kilka razy wymieniała w domu zamki, a mimo to, gdy idzie po zakupy, ten – oczywiście jej zdaniem – jakoś wchodzi i robi jej bałagan, rozrzuca i niszczy przedmioty. Musiałem

jej uświadomić, jaki to „sąsiad” to robi, i podać sposób na odniesienie nad nim zwycięstwa, o którym dalej.

W pewnym domu pojawił się smród spalenizny, potem zaczął się nasilać. Zaczęto szukać źródła, ale nawet wielki remont nie pomógł. Tak śmierdziało, że w końcu mroźną zimą musieli spać przy otwartych oknach. Gdy ktoś z tego domu poszedł do kościoła i od wejścia poczuł i tam spaleniznę, dopiero się zorientował, że nie jest to zjawisko naturalne. Po latach cierpienia, otrzymawszy ode mnie wskazówki, rodzina szybko uwolniła się od tego dowcipnego natręta.

Coś podobnego działo się w innym domu: spod podłogi zaczął wydobywać się przykry fetor jakby smoły czy lepiku. Nie pomogło zerwanie nawierzchni (chyba klepki), usunięcie starej warstwy lepiszcza i zastąpienie jej nowoczesną. Moja interwencja w postaci instrukcji pozwoliła gospodarzowi na pozbycie się smrodu, rogaty musiał go sobie zabrać.

Najwyraźniej – w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości – piekielny gość wziął sobie na kiel wiejskie gospodarstwo, kupione bez załatwienia koniecznych formalności prawnych. Właściciel nie chciał dopełnić tego obowiązku, wziął zapłatę i umarł, zabierając prawo własności do grobu. Co tam się działo, można by było długo opisywać. Rogaty natręt posunął się do tego, że swoje psikusy... potwierdzał na piśmie! I tak, gdy rodzina po zakupach napełniła lodówkę, po powrocie z pola zastała na stole kartkę ze słowami: „Ale dobre było!”, a lodówka była pusta. Diabeł wycinał pazurem jak brzytwą kartki z zeszytu dziewczynki w pokoju, materializował je w kuchni pod sufitem i puszczał, by szybując spadały na podłogę. Przeczytali np.: „Ale się dzisiaj prosiakom wylatało!”, a tego dnia rano zobaczyli wszystkie świnki na kalenicy dachu stodoły, siedzące rządkiem okrakiem – w tym momencie po kolei turlały się i z dachu spadały. Miałem u siebie cały plik diabelskich liścików, pisanych różnymi kolorami flamastrów w nieporadnym chłopskim stylu. Gość chwalił się swoimi wyczynami, choć bywało, że przed czymś przestrzegał, lecz go nie posłuchano, np. „Nie kupujcie krowy, bo ją potnę” – słowa dotrzymał, pociął jej kopyta i wymię, musiano ją zarznąć. Niszczył nowe ubrania w szafie, na polu rzucał kamieniami w pracujących, a nawet – być może – pomógł w odejściu gospodarzowi, zawsze zdrowemu i silnemu: za progiem kuchni runął martwy...

Rodzina przyjechała do mnie, odwiedziłem ją, podpowiedziałem sposób działania (podobny jak w sytuacjach powyższych): na mocy Bierzmowania sami stańcie się egzorcystami. Uklękniecie przed Bogiem i to wszystko, co będzie was odtąd spotykać z tej strony, przyjmijcie jako swój krzyż, ofiarując go Bogu za nawrócenie konających w grzechu ciężkim. Tego piekło nie może wytrzymać: oto pracowało nad kimś latami i stoi nad nim przy zgonie, żeby duszę porwać, a ona otrzymuje prawo do skorzystania z ofiary czyjegoś krzyża, pograża się w głębokiej skrusze i dostępuje Bożego miłosierdzia. Napastnik został pokonany swoją własną bronią i o tym wie: gdy będę tamtych atakować, stracę te dusze, za które oni ofiarowali się Bogu! Dodam jeszcze, że może po roku ta rodzina znowu przyjechała z płaczem: rogaty powrócił! Okazało się, że sprawa ofiarowania Bogu codziennego krzyża u nich wyblakła, a nawet poszła w zapomnienie, co przeciwnik skrzętnie wykorzystał. Musieli wrócić na tę drogę.

Na biurku Lucka-szefa lęgną się w piekle różne pomysły, i to zgodne z duchem czasu. On jest m.in. specem od komputerów i programów, o czym sam mogłem się nieraz przekonać. Do ostatnich jego wynalazków, zachwycających nawet jego smutnych kamratów, należy tzw. „sztuczna inteligencja”. Oto widzimy, jak ten pusty haczyk (tak, nawet bez przynęty!) łykają „powagi naukowe”, ludzie niby to uczeni i utytułowani, a przy tym... bezmyślni! Wystarczyłoby uświadomić sobie, że łacińskie słowo *intelligo* znaczy *rozumiem* albo *rozumuję*, a jak rozumny człowiek może bezdusznej maszynie przypisywać funkcje właściwe dla duszy? Przecież błyskawiczne wyławianie, zestawianie, szeregowanie czy scalanie cyfr (liczb) to tylko i wyłącznie automatyczne realizowanie programu komputerowego, stworzonego przez człowieka – poza ten program nie wychyli się żadna maszyna i niczego nowego sama nie wymyśli! W tym świetle jako dobry humor można potraktować sensację, jakoby w jakiejś fabryce robot się wkurzył i dał lanie jednemu z pracowników! Bo tu już wchodzi w grę nie tylko przypisywanie maszynie funkcji myślenia, lecz także kierowania się nastrojem chwili, uczuciami sympatii, antypatii, gniewu itp. A więc to nie robot, lecz rogaty mógł kogoś pobić. Na



filmiku facet próbuje podrywać robocicę, częstując ją kieliszkiem wina, ale jak to plastikowo-metalowe pudło o kształtach damy miałooby w sobie wlewać trunk, i to ze smakiem? O ludzie!!!

### **Książd wróżbita...?**

W Argentynie kupiłem kilka książek o „czytaniu z ręki”, ale bagaż był za ciężki do samolotu, więc miano mi je wysłać do domu pocztą. Tak Bóg sprawą pokierował, że nigdy to nie nastąpiło, być może z powodu bankructwa dyrektora firmy, który mnie zaprosił. Jednak jedną z nich przywiozłem i próbowałem czegoś się z niej nauczyć. Gdzieś komuś zapowiedziałem trudności życiowe i podniósł się w rodzinie taki lament, że byłem tym mocno zdziwiony. Pewien książd chciał mnie sprawdzić i podawał mi dłoń z pytaniem o to czy ma babę, a gdy zaczynałem się jej przyglądać, natychmiast ją cofał... Rzeczywiście wiele da się wyczytać, np. ból czy wyrwanie zęba od razu widać na linii głowy jako czerwony dołek, jednak zdobywanie doświadczenia w tym względzie pochłonęłoby dużo czasu i wysiłku, a to mnie nie pociągało ani do mnie nie pasowało. Książka miała jednak rozdział, który mnie wciągnął, a który miałem możliwość wielokrotnie wykorzystać w życiu: tzw. chironomię. Nazwy tej nie znajdziecie nawet w wikipedii, a odnosi się ona nie do obserwacji linii na dłoni, lecz do wyciągania wniosków z kształtu dłoni, wyglądu, długości i kształtu palców, paznokci, kąta odchylenia kciuka w dwóch stawach itd. W krótkim czasie mogę w ten sposób dowiedzieć się wiele np. o dziecku do mnie przyprowadzonym, co pozwala na wskazanie jego rodzicom, jak z nim postępować. Skutecznie zastępuje mi to testy psychologów, a rodzice potwierdzają trafność tych spostrzeżeń i uwag. Gdy do tego dodam wyniki obserwacji twarzy (głowy) i uszu – choć to znam z innego źródła – wszystko tworzy spójną całość. Nie wchodzę tu w to, co „wypisane jak na dłoni”, lecz w to, co wpisane jest w kształt, proporcje i wygląd dłoni (nawet widzianej z daleka, np. podczas gestykulacji). Przy tym nie obchodzi mnie, jak mnie ludzie nazwą i co będą mi przypisywać, gdyż tylko Bogu chcę się w pełni podobać, a On chyba nie ma nic przeciwko temu, skoro takimi nas stworzył!

### **Jakiś durny rekolekcjonista...? No to cześć!**

Zdarzyło mi się, jako studentowi KUL, zastępować znajomego ojca duchownego w prowadzeniu dorocznych rekolekcji dla grupy księży. Jednym z poruszanych przeze mnie tematów był tzw. „opus operantis”, czyli zależność skuteczności sakramentów od osobistego zaangażowania i poziomu moralnego szafarza. Moja teza brzmiała: to prawda, że sakramenty działają same ze siebie, własną mocą nadaną im przez Chrystusa, ale w jakimś stopniu także osobisty wkład i potęga wiary kapłana przydaje im skuteczności. Drugim trudnym tematem była konieczność sprawowania w naszym życiu nie jednego, lecz jednocześnie dwóch rodzajów kapłaństwa: tego wynikającego z naszych święceń, ale i chrzcielnego czyli powszechnego albo „królewskiego”, jak nazywa je św. Piotr Apostoł. To drugie polega na ofiarowaniu Bogu samego siebie, a nawet całego siebie... Dlatego nasz osobisty krzyż ma tu tak ogromne znaczenie. Mnie wydawało się to absolutnie oczywiste, lecz... kilku księżom nie tylko się nie spodobało, lecz nawet ich oburzyło! Związała się wśród nich opozycja i po prostu spakowali manatki i wyjechali. A teraz tak sobie myślę, że gdy ich spotkam w Niebie – wcześniej czy później, bo przecież to dobrzy ludzie – porozmawiamy sobie o tym zdarzeniu. Zobaczymy je w świetle Bożym i poznamy życiową drabinę – wszystkie jej szczeble, prowadzące każdego z nas do Chwały. Będzie wśród nich także szczebel durnego rekolekcjonisty, w roli którego – ich zdaniem – wystąpiłem...

### **Mało pobożne chrapanie.**

Bywały dni, gdy trzeba było iść do ołtarza, a ogarniał mnie taki bezwład i słabość, że musiałem położyć się na chwilę na kanapie obok kaplicy. Aniołowie pomagali mi szybko odpocząć, ale potrzebowali do tego mojego zapadnięcia choćby na chwilę w mini-drzemkę. Zdarzyło się kilka razy, że czekający na Mszę świętą, mając przed sobą duży zegar, zauważali moje spóźnienie, szli do mojej kryjówki i mnie budzili. Alarmowało ich moje głośne chrapanie! Gdy teraz spotkam się z tymi Aniołami, których nazywałem swoim wspaniałym konsylium (pochylającym się nade mną), zapytam ich, czy bez tych odgłosów, wybitnie niekościelnych, nie mogło się obejść...

### **Kucharz niedoskonały.**

Im byłem młodszy, tym odporniejszy miałem żołądek, więc jeśli pojawił się u mnie na dłuższej gość, mógł przy mnie wypróbować swoje możliwości. Pewnej młodej damie zaproponowałem, że zrobimy sałatkę warzywną, co przyjęła z entuzjazmem. Zapełniliśmy nią duży szklany klosz i jedliśmy ją przez kilka dni jako danie główne, wymieszawszy ją z twarogiem. Gdy dama stwierdziła, że chyba nasz pokarm zaczyna kwaśnieć, wsypałem sporą ilość mleka w proszku, wymieszałem i ze smakiem zjadałem. Ona z początku towarzyszyła mi w milczeniu (nie miała odwagi kręcić nosem?), aż w końcu nie wytrzymała i stwierdziła, że niewiele zostało i nie będzie mnie objadać, wystarczy jej suchy chleb...

Ileż to było w życiu przymiarek do różnych diet! Była i próba ze św. Hildegardą, której książki zaciekały, intrygowały, ale niekiedy i zdumiewały. Gdy trafiłem u niej na stwierdzenie, że fasolki szparagowej ludzie jeść nie powinni, gdyż jej łupiny nadają się tylko dla zwierząt – podziękowałem Świętej za dalsze zasiadanie przy jej stole. Skoro tak fasolkę lubię i dobrze mi idzie, niech już ja sobie będę na ziemi tym bydłatkiem Bożym, a w Niebie, już na wesoło, porozmawiamy sobie i o fasolce.

Swego czasu razem z siostrą, o dwa lata młodszą, uczyliśmy się gotować zupę chińską, opartą na pięciu kolejnych smakach, kształtach i kolorach warzyw i innych składników. Szło nam nieźle, i po zachowaniu odpowiedniego porządku wrzucania ich do garnka otrzymywaliśmy rzeczywiście magazyn energii: przyjemne ciepło rozchodziło się od głowy do stóp. Zajmowało to jednak dużo czasu, gdyż po wrzuceniu składników trzeba było odczekać kilka minut, więc daliśmy sobie spokój. Bardzo możliwe, że stałe odżywianie się taką zupą działałoby jak lek, nie tylko pokarm, wszystkie narządy otrzymywałyby energię sobie właściwą.

Ale coś mi jednak z tego zostało. Gdy chciałem czymś zainteresować grupę pań, mogących się nudzić w towarzystwie teologa, udawałem chińskiego kucharza. Pytałem je: gdy coś ci się przypaliło, a szkoda wyrzucić, czym osłabić smak i zapach spalenizny...? Milczenie. A gdy coś jest za słodkie, co z tym zrobić? Za cierpkie czy za ostre...? Za słone albo za kwaśne? I tu sutannowiec wprawiał je w podziw i zachęcał do zapisania, ale do dzisiaj nie wiem, czy i na ile to wykorzystają. Wyobrażam sobie w tym miejscu zaciekawienie ze strony Czytelniczek, ale cóż, chińskiej szkoły otwierać tu nie będę – obejdźcie się smakiem. Jakim, którym z tych pięciu? Według własnego gustu. Tylko eksperymentów z mlekiem w proszku, czyli z odkwaszaniem, zbyt często robić nie radzę. Lepiej zrobić czegoś mniej i zjeść świeże.

A jednak zaspokoję dociekliwość pań, bo by mi nie darowały, że „smaki” zabrałem ze sobą do Nieba, gdzie już wszystko wygląda inaczej. Oto ich zestawienie:

#### **1. Co czym przewyciężyć, a przynajmniej osłabić?**

GORZKI (SPALENIZNA) —> zimną wodą, solą (także przypalony garnek, choć mamy płyn do tego specjalny).

SŁODKI —> kwasem, zieleniną puszczającą sok.

OSTRY (CIERPKI) —> wrzątkiem, smakiem gorzkim (kawa, piołun itp.)

SŁONY —> słodkim (miód, ksylitol i inne słodziki nietrujące).

KWAŚNY —> ostrym (cierpkim), **zasadowym** (nabiał, zwł. mleko w proszku, soda).

#### **2. Co czym wzmocnić?**

GORZKI —> kwaśnym.

SŁODKI —> gorzkim (np. kawę odczuwamy jako słodką).

OSTRY (CIERPKI), O ODCZYNIENIE ZASADOWYM —> słodkim.

SŁONY —> ostrym (cierpkim), zasadowym (ostre przyprawy zastępują sól).

KWAŚNY —> słonym (stąd np. przekisz. kapusty nie osłabia się zimną wodą, tylko ciepłą z sodą).

### **Tak mówi, że ziewać się chce...**

Nie jeden mówca, np. wykładowca, zaczyna odczuwać dyskomfort, gdy zauważy pierwszych słuchaczy ziewających... Jest takie powiedzenie, że ziewanie udziela się innym, więc i następni, mimo woli, „podpadają” mówcy. Gdyby jednak ten znał przyczynę tego zjawiska, pewno reagowałby inaczej, gdyż nie są to objawy lekceważenia lub znudzenia jego mową, lecz po prostu... niedotlenienia mózgu!

Początkowo słuchali go w napięciu, uważnie, ale mózg tym szybciej zużył zapas tlenu. Wtedy włącza się, przemyślany wspaniale przez Stwórcę, mechanizm szybkiego dotleniania: przy bardzo szerokim (wolę powiedzieć obrazowo: wysokim) otwarciu ust, aż do maksimum, otwiera się kanał dotleniający mózg. Oczywiście tlen musi dojść z płuc, a jeśli nie ma go w płucach, jak go uzupełnić w niewielkim pomieszczeniu? Należałoby wyjść na świeże powietrze, a przynajmniej otworzyć okna i przewietrzyć pomieszczenie, a następnie wdrożyć chwilę gimnastyki (np. podnieść ręce i wykonać kilka głębokich wdechów). Doświadczony mówca to robi i dalej może mówić, inny natomiast będzie się denerwował i oburzał na słuchaczy i osiągnie tylko tyle, że zaczną opuszczać się ich głowy i zamykać oczy, a świadomość chwilami się wyłączy. Nie trzeba żałować czasu na zarządzanie przerwy, ale w określonym celu, który trzeba podać: ma być aktywna i spowodować dotlenienie, a kto chce stać w kącie albo siedzieć, niech nie wychodzi. Ja uciekałem się w takich sytuacjach do zaintonowania pieśni wielbiącej Boga, oczywiście w pozycji stojącej i z uniesionymi rękami. Można by było zakomenderować: wszyscy ziewamy jak krokodyl pożerający bawołu! – ale tego mówcom robić nie radzę...

### **Czym częstuję cukrożernych.**

Jako proboszcz obywający się bez gospodyni bywałem częstowany słodkościami, które zostały po weselu albo pogrzebie. Im więcej tego było, tym więcej zarabiali na mnie dentyści, zaczęły też strajkować oczy. Nagle jednak powiedziałem STOP, gdy wpadła mi w ręce książka o szkodliwości cukru, który jest rafinowany – wszędzie na świecie – przy użyciu kwasu węglowego, wapna gaszonego i kwasu siarkowego. Na jej podstawie opracowałem artykuł o działaniu na nasz organizm tzw. dwusiarczynu czyli pochodnej kwasu siarkowego, wyliczając aż kilkanaście jego skutków – od zmęczenia i senności aż do cukrzycy i raka. Taką ulotkę zawsze miałem w zakrystii i na otrzymany słodki poczęstunek odpowiadałem własnym: wręczałem ją jako prezent. Obdarowane nim panie pięknie dziękowały, a dopiero w domu łapały się za głowę: wesele i pogrzeb muszą być słodkie, bo co goście powiedzą, ale proboszcza lepiej omijać z daleka! Dodam jeszcze, że od chwili cukrowej abstynencji wzrok szybko mi się poprawiał, a zęby...? Stracone przepadły aż do Bramy Nieba (tam ma się już nowe), a reszta w zasadzie się uspokoiła. Po dużym remoncie nie byłem u dentysty od ok. 30 lat.

### **Syndrom oseska u dorosłego chłopca.**

Osesek to dziecko, które matka karmi własną piersią. Chociaż się na tym nie znam, ale wyobrażam sobie, że dla dziecka charakterystyczne jest to, że nakarmione od razu zasypia. A ten „chłop” to ja. Chociaż już dawno piersi nie ssałem, wszak mam 78 lat, nawyk oseska u mnie pozostał! Już w trakcie jedzenia robię się senny, co sprawia, że potrafię zasnąć z łyżką w ręku lub z widelcem, z którego coś spada, a on sam wymyka się z mojej dłoni. Bywają nieraz zabawne sytuacje: przygląda mi się gość zaproszony do stołu i nie może się nadziwić mojemu zasypianiu, albo trzymany w dłoni rondel z zupą (z którego dna coś dojadam) nagle ląduje na moich kolanach, oczywiście dnem do góry. Wystarczy kilka łyków ciepłej wody, żebym zrobił się tak senny, że za nic wziąć się nie mogę, tylko paść na łóżko. Jak to – myślę sobie – przecież niedawno z łóżka wstałem, bo trawiłem obiad, a tu znowu...?! Tylko jedno mi na myśl przychodzi, a jest to modlitwa: „Takim mnie Boże stworzyłeś i takim mnie masz! Jak to dobrze, że ostatnio stwarzasz mnie jako emeryta i mogę sobie na to pozwolić bez żadnego wstydu, jak osesek przy piersi matki... Już niedługo w naszym wspaniałym Niebie nie będzie trzeba ani jeść, ani trawić, ani odpoczywać, ani nawet spać – łóżek tam nie ma, a żaden z aniołów na kuchni się nie zna”.

### **Coś od sołtysa Kierdziołka.**

Na koniec kawałki nie moje, lecz siedzące we mnie od kilkudziesięciu lat, od czasów cyklicznej audycji radiowej „Podwieczorek przy mikrofonie”. Wyszły z ust jednego z bohaterów audycji, sołtysa Kierdziołka, który swoje skecze zaczynał od „Cie choroba”. Nie są niesmaczne, wprost przeciwnie: nadawały się do opowiedzenia przy niejednym stole, a nawet kucharkom w okienku restauracji.

#### **Karnawałowe zawody**

Koło gospodyń wiejskich nasmażyło pączków i ogłosiło zawody o puchar największego ich pożeracza. Na czoło wysforował się Franio Stelmaszków, który pierwszy zjadł ich całą misę, został w niej już tylko ostatni. Można sobie wyobrazić doping ze strony całego otoczenia! Jednak Franka coś jakby zamurowało: podparł się dziwnie łokciami i tylko w milczeniu kręcił głową. Wreszcie się odezwał: „Ja jestem człowiek uczciwy!” (powtórzył to kilka razy). „Franiu, co to znaczy...?” (nikt tego nie rozumiał, nagroda była już prawie zdobyta). „Ja jestem człowiek uczciwy. Nie bede jod ostatniego, kiej na pierwszym już siedze!”.

#### **Kelner fajłapa**

W restauracji nieistniejącego już warszawskiego hotelu „Dom Chłopa” pewien rolnik zamówił obiad. Długo bez ruchu siedział nad zupą, która mu wystygła, rozglądając się za kelnerem. Gdy go w końcu dostrzegł, przywołał ręką i głosem, wypowiadając tylko jedno słowo: „łyski!”. Ten natychmiast pospieszył z kieliszkiem i butelką, nalewając klientowi trunku, rolnik jednak ani drgnął. Po długim oczekiwaniu znowu w podobny sposób przywołał kelnera z butelką, ten jednak zdziwiony zwrócił mu uwagę: „Przecież Panu nalałem i Pan wcale nie tknął!”. Tego już klient nie wytrzymał, lecz podniesionym głosem powiedział co myśli: „Ja widze, że Pan troche ucuny, ale nawet tego nie rozumi?! Ja wyraźnie powiedział: „łyski”, a Pan co? Ja zamówił u Pana zupe, ale cym ją bede jod, palcem?!”.

#### **Dziwna zupa**

Moja ciocia w roli kucharki mawiała, dając nam garnek do wylizania: „Kto zjada ostatki, ten piękny i gładki”. Czy ta reguła zawsze się potwierdza?

Do przydrożnej restauracji wpada o zmroku zdyszany klient: „Jak to dobrze, że jeszcze otwarte! Ma Pan jeszcze coś do jedzenia?!”. „Gary już puste – odpowiada sprzątający – została tylko sliwkowa”. „Dawaj Pan, aby coś na ząb!”. Po kilku łykach spóźniony klient zatrzymał się jednak i pokręcił głową: „Nie tylko zimna, ale jakaś taka...? To jest śliwkowa?! Przecież tu pływają ziemniaki, jakieś skwarki...?”. „Panie, przecież ja mówił wyraźnie, jaka jest. Czego ludzie nie dojedli, my sliwali, sliwali, i tylko taka została!”

\* \* \*

Przeglądając swoją życiową jaskinię, wygarnąłem z niej na światło dzienne trochę rupieci wspomnień, złomu potknięć, skorup dzisiaj nieużytecznych, a jednak kiedyś postrzeganych inaczej. To co wśród nich złe, niedoskonałe albo całkiem zbędne, rozsypie się wraz z ziemią w jej dniu ostatnim, a okruchy dobra, nawet małe, ocaleją i znajdą swoje miejsce w Oceanie Dobra Wiecznego. Odsianie jednego od drugiego pozostawiam Bogu – tylko On potrafi to uczynić.

„Śmiech to zdrowie”, także wtedy, gdy możemy pośmiać się z samych siebie i nie trzymamy się ściśle kanonów określających, co „wypada”, a co „odpada” w dobrym towarzystwie. Jeśli moje pisanie wywołało czyjś szczery uśmiech bez silenia się na sztuczne szczerzenie zębów (jak do zdjęcia), mogę być zadowolony. Mogę i podwójnie, jeśli zdoła on choć trochę pośmiać się z samego siebie, a jeśli nie, to przynajmniej spojrzeć na swoje życiowe przygody z przymrużeniem oka... Jest to możliwe także wtedy, gdy to życie było (jest?) trudne i ciężkie, niewolne od łez, i mnie nieobcych.

Niebo, do którego odlatujemy, jest Oceanem Szczęścia, ale czy może być szczęście bez radości? Jest więc ona czymś charakterystycznym dla wszystkich Niebian, ale i na ziemi rozdmuchujmy gorliwie jej nikły płomyk, u siebie i u innych. Do spotkania w Wiecznym Szczęściu, Przyjaciele!